



BELWEDERSKA
Szkoła Letnia

BELWEDERSKA *Szkola Letnia*

PRAWO DLA DOBRA WSPÓLNEGO

ANDRZEJ DUDA

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

JANUSZ WOJCIECHOWSKI

ZOFIA ROMASZEWSKA

WIESŁAW JOHANN

DR KRZYSZTOF SZCZUCKI

KS. PROF. DR HAB. FRANCISZEK LONGCHAMPS DE BÉRIER

PROF. DR HAB. ANDRZEJ DZIADZIO

PROF. DR HAB. BOGDAN SZLACHTA

PROF. UŁAZ. DR HAB. MAŁGORZATA MANOWSKA

DR WOJCIECH ARNDT

WOJCIECH HERMELIŃSKI

PROF. USZ DR HAB. MAREK ANDRZEJEWSKI

PROF. DR HAB. KRZYSZTOF SZCZERSKI

PROF. DR HAB. ZBIGNIEW STAWROWSKI

DR BARTOSZ SKWARA

ANNA POTĘPA-WIERZBOWSKA

DR KRZYSZTOF KOŹMIŃSKI

DR HAB. ARTUR KOTOWSKI

PROF. VMU DR HAB. ARKADIUSZ RADWAN

DR HAB. JAN RUDNICKI

DR EWA RZYMKOWSKA

DR MIKOŁAJ RYSIEWICZ

JAN ROKITA



Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
ANDRZEJ DUDA

Warszawa, 4 lipca 2019 roku

Uczestnicy
pierwszej edycji Belwederskiej Szkoły Letniej

Szanowni Państwo - Drodzy Uczestnicy!

Belwederska Szkoła Letnia to inicjatywa, której celem jest skonfrontowanie wiedzy akademickiej z zakresu prawa, teorii ustroju i nauk społecznych z praktycznym wymiarem funkcjonowania państwa. To również okazja do spotkania zarówno z naukowcami, jak i z osobami, które na co dzień uczestniczą w sprawowaniu władzy, wcielają w życie demokratyczne mechanizmy i podejmują decyzje, od których zależą kształt i losy Polski.

Cieszę się, że pierwsza edycja Belwederskiej Szkoły Letniej spotkała się z tak dużym zainteresowaniem. Jestem przekonany, że spotkanie z gronem wybitnych teoretyków i praktyków pozwoli jej uczestnikom spojrzeć na sprawy państwa w nowy sposób, a w przyszłości będzie inspiracją do podjęcia służby publicznej.

Wszystkim uczestnikom Belwederskiej Szkoły Letniej życzę dobrze spędzonego czasu, pełnego inspirujących rozmów i refleksji, które zaowocują jeszcze lepszym przygotowaniem do pracy dla wspólnego dobra.

Z wyrazami szacunku i sympatii

JANUSZ WOJCIECHOWSKI

Audytor w Europejskim Trybunale Obrachunkowym, Prezes Najwyższej Izby Kontroli w latach 1995-2001, wicemarszałek Sejmu w latach 2001-2004, poseł na Sejm II i IV kadencji, poseł do Parlamentu Europejskiego w latach 2004-2016.



Kontrola zewnętrzna organów sądowych w kontekście doświadczeń Europejskiego Trybunału Obrachunkowego

Niezawisłość sędziowska i ustrojowa niezależność sądownictwa nie musi oznaczać i nie oznacza, że sądy jako instytucja mają być wolne od jakiejkolwiek zewnętrznej kontroli.

W Polsce kontrolą sądów zajmuje się od lat Najwyższa Izba Kontroli, przy czym kontrole te mają jak dotychczas głównie aspekt finansowy. Kontrolerzy badają legalność, w szczególności legalność wydatków budżetowych sądów. Nie było jak dotychczas kontroli dotyczących organizacji pracy sądów.

Tymczasem ciekawe podejście zaprezentował ostatnio Europejski Trybunał Obrachunkowy, który przeprowadził kontrolę Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, przy czym kontrola ta dotyczyła nie kwestii wydatków budżetowych, ale właśnie kwestii związanych z organizacją pracy Trybunału i zarządzania ruchem spraw. Wyniki tej kontroli opisane zostały w Sprawozdaniu specjalnym nr 14 z 2017 roku i stanowić mogą dobry przykład, że również w Polsce kwestie organizacyjne w funkcjonowaniu sądownictwa mogą i powinny być przedmiotem badania i oceny ze strony Najwyższej Izby Kontroli. Taka kontrola, oczywiście nie wkraczająca w zakres niezawisłości sędziowskiej, mogłaby wiele wnieść do debaty nad kondycją polskich sądów i nad kierunkami reform wymiaru sprawiedliwości.



ZOFIA ROMASZEWSKA

Od 1976 r. uczestniczyła w akcji pomocy robotnikom represjonowanym po protestach czerwcowych w Ursusie i Radomiu, od października 1976 kierowała razem z mężem grupą pomagającą w Radomiu. Była współpracownikiem Komitetu Obrony Robotników, w maju 1977 razem z mężem stanęła na czele Biura Interwencyjnego KOR, które koordynowało pomoc osobom represjonowanym przez władze PRL.



We wrześniu 1977 roku podpisała Deklarację Ruchu Demokratycznego – dokument programowy opozycji „korowskiej”. W latach 1980–1981 kierowała ze Zbigniewem Romaszewskim Komisją Interwencji i Praworządności Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”. Razem z mężem organizowała konspiracyjne warszawskie Radio „Solidarność”. Wystąpiła jako spikerka w pierwszej audycji radia w dniu 12 kwietnia 1982. Została aresztowana 5 lipca 1982. 17 lutego 1983 za działalność opozycyjną skazana na karę 3 lat pozbawienia wolności, zwolniona na mocy amnestii w lipcu 1983. Od 1986 do 1989 działała w Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”, którą kierował Zbigniew Romaszewski. W latach 1989–1995 była dyrektorem Biura Interwencji Kancelarii Senatu, a w 1991–1993 sędzią Trybunału Stanu. Obecnie Doradca Prezydenta RP. Dama Orderu Orła Białego.

Dobro człowieka najwyższym prawem ? Konfrontacja pokoleń

Zajęcia będą miały charakter dialogu poprzedzonego wprowadzeniem, w którym Pani Zofia Romaszewska opowie o swoim doświadczeniu w towarzystwie człowiekowi konfrontującemu się z aparatem represji. Kontekst historyczny będzie pretekstem do rozmowy już nie tylko o historii, ale także o współczesnych relacjach człowieka ze wspólnotą i państwem. Zajęcia będą dialogiem nie tylko ze względu na prowadzoną w ich ramach rozmowę, ale także z uwagi na perspektywę uczestników - prowadzącej i studentów.



WIESŁAW JOHANN

Adwokat, sędzia Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku, wiceprzewodniczący Krajowej Rady Sądownictwa, Kanclerz Kapituły Orderu Odrodzenia Polski, był pełnomocnikiem rządu ds. likwidacji Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowsk, w PRL obrońca w procesach politycznych.



Konstytucyjna ochrona praw i wolności człowieka

DR KRZYSZTOF SZCZUCKI

Adiunkt w Katedrze Prawa Karnego Porównawczego na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, główny specjalista w Biurze Prawa i Ustroju w Kancelarii Prezydenta RP, autor licznych publikacji naukowych (m.in. Wykładnia prokonstytucyjna prawa karnego; Ustawa o Sądzie Najwyższym. Komentarz), prezes Fundacji Instytut Rzeczypospolitej im. Pawła Włodkowica, kierownik projektu „Centrum Promocji Polskich Nauk Prawnych” na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego.



Jaki ustrój dla RP?

Zajęcia będą miały charakter seminaryjno-warsztatowy. Od wejścia w życie obecnie obowiązującej konstytucji minęło już ponad dwadzieścia lat. Jest to wystarczająca perspektywa do zastanowienia się na ile ramy ustrojowe przez nią ukształtowane sprawdziły się w praktyce. Wspólnie z uczestnikami Belwederskiej Szkoły Letniej zastanowimy się nad polską tożsamością konstytucyjną oraz ocenimy obowiązujące regulacje.

Głównym przedmiotem zajęć będzie zebranie propozycji ewentualnych zmian ustrojowych, które – w przekonaniu uczestników – są zasadne.

Podstawowym kryterium weryfikacji obowiązujących rozstrzygnięć ustrojowych będzie zasada dobra wspólnego, wypowiedziana zresztą w art. 1 Konstytucji RP.



KS. PROF. DR HAB.

FRANCISZEK LONGCHAMPS DE BÉRIER

Ksiądz katolicki, profesor nauk prawnych, kierownik Katedry Prawa Rzymskiego na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, absolwent prawa na Uniwersytecie Warszawskim i Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie, autor licznych publikacji naukowych (m.in. monografie: *Law of Succession. Roman Legal Framework and Comparative Law Perspective*; *O elastyczność prawa spadkowego*; *Textbook on the First Amendment: Freedom of Speech and Freedom of Religion*; *Nadużycie prawa w świetle rzymskiego prawa prywatnego*; *Powtórka z Rzymu*).



Prawo a bezprawie - perspektywa prawa rzymskiego

Jedyna zachowana definicja prawa z Rzymu, pochodząca od Celsusa głosi, że prawo jest sztuką tego, co dobre i sprawiedliwe. Paulus wyjaśnił, że „o pretorze mówi się jako o tworzącym prawo również wtedy, gdy orzeka niesłusznie, co odnosi się oczywiście nie do tego, co pretor robi, lecz do tego, co powinien czynić”. Ulpian zaznaczył na samym początku wykładu prawa rzymskiego, że słowo prawo „czerpie swe brzmienie od sprawiedliwości”, w czym nie chodzi o etymologię, lecz głęboki związek prawa ze sprawiedliwością. Doświadczenie rzymskiego społeczeństwa, doskonale na co dzień obeznanego z prawem, znacznie wcześniej niż wymienieni prawnicy formułowali swe uwagi, ujęło kwestię relacji między prawem a bezprawiem w przysłowie: „najwyższe prawo, najwyższym bezprawiem”. Od zarania prawa rzymskiego zagadnienie wyrażają złożenia *ius – iniuria* oraz *fas – nefas*.

Za charakterystycznie przeciwstawnymi słowami kryje się odniesienie natury i sensu prawa oraz charakterystycznych cech i zagrożeń bezprawiem.



PROF. DR HAB. ANDRZEJ DZIADZIO

Profesor nauk prawnych, kierownik Katedry Powszechnej Historii Państwa i Prawa na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor licznych publikacji naukowych (m.in. monografie: Cenzura prasy w Austrii (1862-1914). Studium prawno-historyczne; Monarchia konstytucyjna w Austrii (1867-1914). Władza, obywatel, prawo).



Spory ideowe w dobie kształtowania się państwa prawa

Wykład obejmie przedstawienie kwestii związanych z modelem państwa prawa, jaki został najwcześniej w Europie wprowadzony w 1867 r. w monarchii austriackiej. Austriacki system ustrojowy będzie punktem wyjścia do omówienia genezy liberalnej koncepcji państwa prawa i jej ewolucji po dzień dzisiejszy.

Celem wykładu jest pokazanie ideowego sporu z pozycji liberalnych i konserwatywnych, który miał wpływ zarówno na kształt porządku konstytucyjnego, jak i praktykę ustrojową pierwszego europejskiego państwa prawa. W dalszej części uwaga skupiona zostanie na funkcjonowaniu konserwatywnych austriackich rządów po 1879 r. w ramach liberalnej konstytucji, których projekcja silnego państwa, integracyjnej funkcji społeczeństwa i prawa nie pokrywała się w pełni z implementowaną wersją państwa prawa. W związku z tym powstawały w monarchii habsburskiej pewne napięcia między konserwatywną władzą a instytucjami państwa prawa, przede wszystkim trybunałami prawa publicznego, które znalazły się pod pewną presją ze strony aparatu państwowego. Instytucje ochrony prawnej przyjmowały czasami punkt widzenia władzy rządowej w celu łagodzenia wewnętrznych konfliktów. Prezentowały więc postawę pasywną, mając na względzie stabilizację państwa. Konflikt ten znajdzie także kontynuację w I Republice Austriackiej, który przyniesie jednak groźniejsze skutki dla państwa prawa niż w czasach monarchicznych. Powyższe zagadnienia zostaną nakreślone zasadniczo w trzech aspektach:

- 1) roli austriackich trybunałów prawa publicznego w rozstrzyganiu sporów prawnych o wyraźnym zabarwieniu ideologicznym,
- 2) miejsca Kościoła i religii katolickiej w sferze publicznej według laickiej wizji państwa prawa i konstytucyjnej gwarancji wolności i sumienia,
- 3) przebiegu sporów ideowych na łamach prasy w warunkach stosowania cenzury represyjnej, z elementami współczesnej konstrukcji „mowy nienawiści”.

PROF. DR HAB. BOGDAN SZLACHTA

Prof. zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, prawnik i filozof, autor m.in. monografii *Z dziejów polskiego konserwatyzmu* (Kraków 2000) i *Monarchia prawa? Angielska myśl polityczna doby Tudorów* (Kraków 2008), kilku zbiorów esejów, kilkuset artykułów naukowych i haseł encyklopedycznych, redaktor wielu prac zbiorowych i wyborów tekstów, redaktor *Słownika społecznego* (Kraków 2004) i współredaktor serii „Biblioteka Klasyki Polskiej Myśli Politycznej”; redaktor „Politei. Pisma Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ” (od 2004 r.) i dziekan tegoż Wydziału (2008-2016); członek Academia Europaea z siedzibą w Londynie i Komitetu Nauk Politycznych PAN.



Między pozytywizmem i normatywizmem prawniczym. Uwagi historyka doktryn polityczno-prawnych

Prawnicy reflektujący nad podstawami, tworzeniem i treściami normatywnymi (i nie tylko normatywnymi) znajdowanymi w zwykłe już ukonstytuowanych systemach prawnych, mają historyków myśli politycznej za poruszających się na odmiennych polach, podejmujących namysł nie nad tym, co ujęte w prawie, ale raczej nad tym, co faktyczne. Być może filozofowie i teoretycy prawa ujmują swoją aktywność w niejkiej opozycji do prób podejmowanych i przez historyków myśli czy doktryn politycznych, jak i przez filozofów polityki, mając ich za reflektujących o poziomie kojarzonym ze zmaganiem o władzę, charakteryzowanym przez zmienność, migotliwość, w każdym razie niepewność i niestałość. Choć uznają zapewne, że władzę można kojarzyć z dziełem narzucania woli jej piastunów woli innych aktorów („rządzonych”), przecież częściej w ostatnich dekadach postrzegają ją jako swoisty ośrodek, wola którego spętana jest lub spętana być winna przez system normatywny o walorze prawnym. Wspominają o ograniczeniach i rozproszeniu w różnych kierunkach czy na różnych poziomach władzy, o prawach podmiotowych, których wola władających nie powinna naruszać itd. Analizy te są istotne, rzecz w tym jednak, że – nawet je znając – historyk myśli politycznej dostrzega potrzebę ich dopełnienia przez namysł dotyczący w szczególności choćby dwóch sensów terminu „konstytucjonalizm”, z których jeden odsyła do obowiązującego z woli różnie pojmowanego prawodawcy systemu prawnego, gdy drugi do „porządku normatywnego” wolę tę i system przez nią ukształtowany poprzedzającego. Jako badacz historii doktryn polityczno-prawnych, który ongiś analizował i projekt Hansa Kelsena (czy – szerzej – normatywistyczny, różny od pozytywistycznego), i polskie poszukiwania wiodących w kierunkach podobnych do proponowanych przez Kelsena, poruszę dwa wątki: jeden wiodący ku ogólniejszej refleksji nad problemem niesionym przez normatywizm, drugi ku refleksji polskich prawników okresu międzywojennego dotyczących tego właśnie problemu.

PROF. UŁAZ DR HAB. MAŁGORZATA MANOWSKA

Sędzia Sądu Najwyższego, dyrektor Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, profesor nadzwyczajny w Katedrze Prawa Cywilnego na Wydziale Prawa i Administracji Uczelni Łazarskiego, autorka licznych publikacji naukowych (m.in. monografie: Apelacja w postępowaniu cywilnym; Wznowienie postępowania cywilnego).



Idealny model procesu cywilnego

Zasadniczym celem procesu jest udzielenie obywatelowi ochrony sądowej jego praw podmiotowych bądź stosunku prawnego. Rozstrzygnięcie sporu cywilnego wymaga przede wszystkim ustalenia przebiegu zdarzeń leżących u jego podłoża. Bez tego nie było możliwe określenie legitymacji materialnej czynnej i biernej, związku przyczynowo skutkowego, ani też wysokości należnych ewentualnie powodowi roszczeń. Dlatego istotą działalności jurysdykcyjnej sądu w postępowaniu cywilnym jest ustalenie podstawy faktycznej sporu, a dopiero następnie dokonanie analizy prawnej pozwalającej na prawidłową subsumcję ustalonego stanu faktycznego do zakresu zastosowania określonej normy prawnej, i wreszcie wyciągnięcie skutków prawnych stanowiących rozstrzygnięcie sporu stron. Cel procesu wtedy zostanie osiągnięty, gdy stan faktycznie zostanie ustalony zgodnie z prawdą, innymi słowy, gdy przebieg wydarzeń zostanie ustalony zgodnie z jego rzeczywistym przebiegiem. Wskazanie okoliczności faktycznych, a także dostarczenie sądowi materiału procesowego pozwalającego na ich weryfikację wymaga współpracy stron i sądu. Współpraca ta może przebiegać według różnych schematów, w zależności od modelu przyjętego w danym systemie prawa procesowego. Problem ze znalezieniem właściwego schematu współpracy stron z sądem wynika ze ścierania się niejako dwóch naczelnych celów jakie powinny przyświecać procesowi cywilnemu. Z jednej strony, oczywiście wydaje się, że proces cywilny powinien doprowadzić do wykrycia prawdy i sprawiedliwego rozstrzygnięcia sporu. Z drugiej strony, nawet najlepsze rozstrzygnięcie sporu traci na znaczeniu dla stron, jeśli następuje po wielu latach uciążliwego postępowania. Drugim zatem celem procesu cywilnego jest jego sprawny przebieg. Idealny model tego procesu to zatem taki, który zapewnia sprawne ustalenie prawdy i sprawiedliwe rozstrzygnięcie sporu, co można osiągnąć przez właściwe ukształtowanie zasad koncentracji materiału dowodowego, kontrydiktoryjności, dyspozycyjności oraz sędziowskiego kierownictwa postępowaniem.

O tym, kto w procesie cywilnym odpowiedzialny jest za gromadzenie i prezentowanie materiału dowodowego generalnie decyduje sposób ukształtowania zasady kontradiktoryjności (sporności) oraz zasada dyspozycyjności. Zasady te decydują o zakresie praw i obowiązków stron. Dopełnieniem zasady kontradiktoryjności jest zasada koncentracji materiału dowodowego oraz formalizm procesowy, zapewniające szybkość, efektywność postępowania. O zakresie praw i obowiązków sądu w procesie gromadzenia materiału procesowego niezbędnego do rozstrzygnięcia sprawy (a przez to realizacja zasady koncentracji materiału dowodowego) decyduje sposób ukształtowania zasady sędziowskiego kierownictwa postępowaniem.

Sędziowskie kierownictwo można określić jako środek służący realizacji zasady skupienia materiału procesowego przy zagwarantowaniu stronom prawa do rzetelnego procesu. Celem sędziowskiego kierownictwa materialnego powinno być doprowadzenie do wydania sprawiedliwego orzeczenia. Obejmuje to czynności związane z przygotowaniem oraz weryfikacją i ewentualnie uzupełnieniem materiału procesowego (tak w sferze faktycznej, jak i dowodowej) według prawa materialnego. Sędziowskie kierownictwo postępowaniem dowodowym sprawowane w prawidłowy sposób ma niewątpliwie na celu (oprócz realizacji zasady skupienia materiału procesowego) urzeczywistnienie zasady kontradiktoryjności i takie jej nasycenie elementami oficjalno – śledczymi, aby postępowanie to doprowadziło do ustalenia stanu faktycznego zgodnie z prawdą, oraz aby odbyło się to sprawnie i szybko, ale bez naruszania zasady równości broni.

W trakcie wykładu przedstawione zostaną kluczowe rozwiązania *de lege lata* i *de lege ferenda* decydujące o kształcie sędziowskiego materialnego kierownictwa postępowaniem dowodowym przed sądem pierwszej instancji.



DR WOJCIECH ARNDT

Adiunkt w Instytucie Politologii Akademii Ignatianum w Krakowie; koordynator Wydziału Weryfikacyjnego Biura Służby Prawnej w Trybunale Konstytucyjnym, autor licznych publikacji naukowych (m.in.: Współczesna władza nad interpretacją prawa a problematyka suwerenności wewnętrznej; Suwerenność wewnętrzna - władza, wspólnota polityczna a prawo; Rozumienie pracy w Konstytucji RP – próba rekonstrukcji pojęcia).



Idea racjonalnego prawodawcy

Wykład ma na celu wyjaśnienie, na czym polega doniosłość wymogu racjonalnego stanowienia prawa. W pierwszej kolejności zaprezentowane zostanie założenie racjonalnego prawodawcy, które jest koniecznym elementem interpretacji obowiązującego prawa (podczas sądowego czy administracyjnego stosowania prawa). W drugiej kolejności zostaną przedstawione wymogi formalne, którą są stawiane zarówno przy inicjatywie ustawodawczej, jak i przy procedurze legislacyjnej (określone przede wszystkim w Zasadach techniki prawodawczej, Regulaminie Sejmu oraz Regulaminie Senatu). Wydaje się, że stanowią one istotne warunki służące zrationalizowaniu procesu legislacyjnego. W trzeciej kolejności postawione zostaną pytania, w jaki sposób można podnieść jakość procesu prawodawczego, w jaki sposób można bardziej zrationalizować prawo. Wiąże się to z próbą zastanowienia się o model racjonalności wykraczający poza ramy formalne. To prowadzić musi do zastanowienia się nad wyborem konkretnej koncepcji racjonalności materialnej, a więc także zaangażowanej aksjologicznie. Nie sposób odpowiedzieć na to bez odniesienia do aksjologii obowiązującej Konstytucji RP. Wydaje się, że właśnie w niej należy szukać odpowiedzi na pytanie o ideę racjonalnego prawodawcy.



WOJCIECH HERMELIŃSKI

Sędzia Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku, przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej w latach 2014–2019, w przeszłości adwokat, do roku 2006 wiceprezes Naczelnej Rady Adwokackiej.

Pełnomocnik skarżących w sprawach przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu. W latach 2004–2006 członek rady programowej Programu Spraw Precedensowych w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.



Gwarancje prawa wyborczego w przepisach rangi ponadustawowej (Konstytucja RP, akty prawa międzynarodowego)

Wstępem do wystąpienia będzie krótkie przypomnienie historii wyborów w Polsce – 26 stycznia 2019 r. minęła setna rocznica pierwszych wolnych wyborów w Odrodzonej Polsce.

Podkreślone zostanie nadto znaczenie wyborów 4 czerwca 1989 roku, które zapoczątkowały proces transformacji w Polsce.

Prezentacja zawierać będzie także krótką charakterystykę kodeksowych zasad prawa wyborczego oraz omówienie sędziowskiego modelu administracji wyborczej (*iudices electionis custodes*), także w odniesieniu do modeli obowiązujących w innych państwach.

Znaczna część wystąpienia poświęcona będzie gwarancjom prawidłowego przebiegu procedury wyborczej zawartym w Konstytucji, a także ukształtowanym przez orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.



PROF. USZ DR HAB.

MAREK ANDRZEJEWSKI

Profesor nadzwyczajny w Katedrze Prawa Cywilnego i Handlowego na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Szczecińskiego, specjalista z zakresu prawa rodzinnego, przez dziewięć lat pracował w domach dziecka, autor licznych publikacji naukowych (m.in. monografie: Domy na piasku. Domy dziecka. Od opieki nad dzieckiem do wspierania rodziny, Ochrona praw dziecka w rodzinie dysfunkcyjnej).



Obowiązki państwa wobec rodziny w kontekście konstytucyjnej zasady pomocniczości

Zasada pomocniczości wyznacza (acz w nieostry sposób) linię graniczną pomiędzy tym, co w rodzinie prywatne, a tym, co pozwala, uzasadnia, a czasami nakazuje, Państwu w autonomię rodziny ingerować. Państwo pomocnicze nie jest państwem opiekuńczym, ani też nie jest państwem obojętnym na los słabszych państwem-nocnym stróżem. Zasada pomocniczości zakłada, że każdy (jednostka, rodzina, a także grupy większe) samodzielnie wypełnia swe funkcje. Jeżeli jednak nie jest w stanie tego czynić, wówczas należy go wesprzeć. Obowiązek ten w pierwszej kolejności spoczywa na najbliższych, a celem wspierania jest doprowadzenie do usamodzielnienia beneficjenta. O racjonalności działań pomocowych państwa w większym stopniu świadczą liczby usamodzielnionych (tych, którzy wyszli ze systemu pomocy) niż wydatkowane kwoty. Podobnie jest kwestią przeciwdziałania niewydolności wychowawczej rodziców – o racjonalności tych poczynań bardziej świadczy liczba rodzin, do których powróciło dziecko przebywające w pieczy zastępczej, niż liczba nowoutworzonych rodzin zastępczych.



PROF. DR HAB. KRZYSZTOF SZCZERSKI

W 1997 roku uzyskał tytuł magistra politologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w 2001 roku stopień doktora w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UJ. W 2010 roku uzyskał habilitację na podstawie rozprawy „Dynamika systemu europejskiego”, za którą otrzymał nagrodę Prezesa Rady Ministrów. Od 2013 roku jest profesorem nadzwyczajnym na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W latach 2007 - 2008 był Podsekretarzem Stanu

w Ministerstwie Spraw Zagranicznych RP, a następnie w Urzędzie Komitetu Integracji Europejskiej. Był członkiem Rady Służby Cywilnej przy Premierze RP (2009-2010) i Posłem na Sejm RP (2011-2015). Od 7 sierpnia 2015 r. jest Sekretarzem Stanu w Kancelarii Prezydenta RP. Od 4 kwietnia 2017 r. jest Sekretarzem Stanu – Szefem Gabinetu Prezydenta RP.



Systemowe dylematy kryzysu Unii Europejskiej. Aspekty prawne i polityczne

Czas kryzysu związanego z niestabilnością strefy euro wywołał daleko idącą przychylność przywódców politycznych Unii Europejskiej do zgody na stosowanie środków doraźnych i nadzwyczajnych przy równocześnie coraz bardziej ujawniających się rozdziewkach wewnętrznych w ramach samej Unii wzdłuż linii podziału: kraje członkowskie strefy euro - państwa buforowe (z członkostwem w strefie objętym derogacją) - państwa trwale poza wspólną walutą (posiadające w tym względzie klauzulę opt-out). Jednocześnie wraz z koniecznością dokonywania daleko idących korekt w funkcjonowaniu państwowych systemów politycznych krajów członkowskich, co wiązało się zwłaszcza z programami oszczędnościowymi (austerity measures) w odniesieniu do wydatków budżetowych, osłabieniu ulegało poparcie i zaufanie do polityki unijnej wśród społeczeństw szczególnie tam, gdzie cięcia finansowe były najbardziej dotkliwe (Grecja). Jak pisał jeden ze znanych analityków polityki europejskiej, „system Unii Europejskiej znalazł się w ferworze rewolucji”.

Oba te czynniki - nadzwyczajny charakter potrzeb regulacyjnych wywołujących wewnętrzne podziały i niepewność w uzyskaniu dla nowych państw rozwiązań demokratycznego wsparcia proceduralnego - spowodowały, że poszukiwanie dróg rekonfiguracji wspólnotowego systemu politycznego odbywało się w ostatnich latach z dominacją rozwiązań szczególnych, odmiennych od ustalonego trybu pogłębiania integracji europejskiej. Jego podstawą był bowiem od początku procesów integracyjnych tryb traktatowy oparty na pełnowymiarowej Konferencji Międzyrządowej lub - w sprawach najwyższej wagi - możliwość zastosowania modelu Konwentu Europejskiego. Istotą tych

procesów zmiany w sensie politycznym było spełnienie dwóch wymogów legitymizacyjnych dla każdorazowego zasadniczego pogłębienia integracji: jednomyślności państw i demokratycznej zgody obywateli (w przypadku Konwentu poszerzone także o aspekt demokratycznej deliberacji). Traktatowa ścieżka integracji dawała bowiem gwarancję, że na zmianę muszą wyrazić zgodę wszystkie państwa, a ratyfikacja nowego wspólnotowego prawa pierwotnego odbywać się będzie albo w drodze referendalnej albo w procedurze parlamentarnej.

Pokryzysowa rekonfiguracja odeszła jednak od tego wzorca i z tej racji stanowić może ciekawe studium badawcze z zakresu zmiany systemowej w Unii Europejskiej. Dlatego warto podjąć refleksję nad tym, do jakiego stopnia sposób, w jaki poszukiwano odpowiedzi na kryzys Unii Europejskiej, był adekwatny, jakie problemy pojawiły się na etapie jego realizacji i jakie przynosi on wyzwania dla procesów integracyjnych w Europie. Ta szeroka paleta zagadnień zostanie z natury rzeczy skrótowo naszkicowana w trzech aspektach: regulacyjnym, systemowym i legitymizacyjnym.

Pokryzysowa rekonfiguracja odeszła jednak od tego wzorca i z tej racji stanowić może ciekawe studium badawcze z zakresu zmiany systemowej w Unii Europejskiej. Dlatego warto podjąć refleksję nad tym, do jakiego stopnia sposób, w jaki poszukiwano odpowiedzi na kryzys Unii Europejskiej, był adekwatny, jakie problemy pojawiły się na etapie jego realizacji i jakie przynosi on wyzwania dla procesów integracyjnych w Europie. Ta szeroka paleta zagadnień zostanie z natury rzeczy skrótowo naszkicowana w trzech aspektach: regulacyjnym, systemowym i legitymizacyjnym.



PROF. DR HAB. ZBIGNIEW STAWROWSKI

Profesor nauk społecznych, filozof, współzałożyciel i dyrektor Instytutu Myśli Józefa Tischnera w Krakowie, autor licznych publikacji naukowych (m.in. monografie: Państwo i prawo w filozofii Hegla; Prawo naturalne a ład polityczny; Niemoralna demokracja; Solidarność znaczy więź; Wokół idei wspólnoty; The Clash of Civilizations or Civil War; Budowanie na piasku. Szkice o III Rzeczypospolitej).



O prawdziwej konstytucji

Ocena funkcjonowania państwa nie sprowadza się jedynie do stwierdzenia zgodności jego działań z aktualnie obowiązującą ustawą zasadniczą. Można bowiem również zapytać o konstytucyjność samej konstytucji. Oznacza to zawieszenie rozważań i interpretacji prawnych, którymi zazwyczaj zajmują się konstytucjoniści i podjęcie filozoficznej refleksji nad dobrze zorganizowanym państwem. Pozwala nam ona na przedstawienie obrazu "prawdziwej konstytucji", która dla konkretnie istniejących ustaw zasadniczych współczesnych państw może i powinna stanowić wzór oraz kryterium ich oceny.



DR BARTOSZ SKWARA

Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego i Szkoły Prawa Niemieckiego na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie, autor książki „Rozporządzenie jako akt wykonawczy do ustawy w polskim prawie konstytucyjnym” oraz kilkudziesięciu artykułów naukowych z zakresu prawa konstytucyjnego. Po uzyskaniu stopnia naukowego doktora nauk prawnych prowadził zajęcia dydaktyczne na Uniwersytecie Wrocławskim i na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. Stypendysta Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej, w roku 2008 przebywał

w ramach stypendium naukowego w Katedrze Prawa Publicznego profesora Rainera Arnolda na Uniwersytecie w Ratyzbonie. Doradca Prezesa Trybunału Konstytucyjnego oraz Zastępcą Dyrektora Biura Służby Prawnej TK.



Kompetencje i funkcjonowanie Trybunału Konstytucyjnego

Status prawny Trybunału Konstytucyjnego wynika z czterech podstawowych aktów normatywnych o charakterze powszechnie obowiązującym:

- 1) Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 2 kwietnia 1997 r. (przede wszystkim z artykułów 188–197),
- 2) ustawy z dnia 30 listopada 2016 r. o organizacji i trybie postępowania przed Trybunałem Konstytucyjnym,
- 3) ustawy z dnia 30 listopada 2016 r. o statusie sędziów Trybunału Konstytucyjnego,
- 4) ustawy z dnia 13 grudnia 2016 r. – Przepisy wprowadzające ustawę o organizacji i trybie postępowania przed Trybunałem Konstytucyjnym oraz ustawę o statusie sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

W zakresie nieuregulowanym w ustawie o organizacji i trybie postępowania przed Trybunałem Konstytucyjnym do postępowania przed Trybunałem stosuje się odpowiednio przepisy ustawy z dnia 17 listopada 1964 r. – Kodeks postępowania cywilnego.

Regulację prawną polskiego sądu konstytucyjnego konkretyzują również akty prawa wewnętrznego stanowione przez jego organy: Prezesa Trybunału Konstytucyjnego i Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK. Wśród wskazanych aktów normatywnych należy podkreślić znaczenie Uchwały Zgromadzenia Ogólnego w sprawie Regulaminu Trybunału Konstytucyjnego.

ANNA POTĘPA-WIERZBOWSKA

Absolwentka Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Radca prawny wpisany na listę Okręgowej Izby Radców Prawnych w Warszawie. Obecnie pracuje w Trybunale Konstytucyjnym w Biurze Służby Prawnej w Wydziale do spraw Wstępnej Weryfikacji Pism Inicjujących Postępowanie przed Trybunałem jako radca orzecznictwa. W czasie studiów zaangażowana w propagowanie i szkolenia z zakresu alternatywnych form rozwiązywania sporów.

Po ukończeniu studiów pracowała przez wiele lat w Kancelarii Prawnej zdobywając praktykę sądową.



W ramach *Belwederskiej Szkoły Letniej* przedstawi Państwu codzienną pracę Trybunału, przybliży pracę sędziów i zadania pracowników. Zobaczą Państwo sale rozpraw, pokoje narad, togi sędziowskie, bibliotekę. Dowiedzą się Państwo jak wygląda struktura i organizacja pracy w Trybunale. Poznają Państwo wszystkie etapy rozpoznawania skargi konstytucyjnej zanim zostanie ogłoszone orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego na sali rozpraw.



DR KRZYSZTOF KOŹMIŃSKI

Adiunkt w Instytucie Nauk o Państwie i Prawie na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, ekspert organizacji pozarządowych, autor kilkudziesięciu publikacji naukowych, w tym książek na temat odpowiedzialności odszkodowawczej za niezgodne z prawem wykonywanie władzy publicznej, instytucji bankowych kredytów indeksowanych i denominowanych do kursu walut obcych oraz teorii i praktyki stanowienia prawa.



Zasada dobra wspólnego a legislacja - warsztaty z wykorzystaniem oceny skutków regulacji

Zasada dobra wspólnego, wyrażona przez ustrojodawcę w Preambule oraz art. 1 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 2 kwietnia 1997 r., posiada doniosłe znaczenie nie tylko dla stosujących obowiązujące prawo organów władzy sądowniczej (judykatywy), szeroko rozumianej administracji publicznej (egzekutywy), lecz również w procesie projektowania i stanowienia nowych regulacji (czyli działalności tzw. legislatywy).

Dobro wspólne – przeciwstawiane dobru partykularnemu/prywatnemu – nakłada na władzę obowiązek troski o wszystkich członków wspólnoty, równoważenie ich praw i obowiązków, uwzględnianie rozmaitych interesów, a także krytyczną ocenę rozwiązań nakierowanych na korzyść jednej grupy społecznej kosztem innych. Wyrazem owego oddziaływania na postępowania prawodawcze powinna być rzetelna ocena skutków regulacji, rozumiana jako próba oszacowania społecznych i gospodarczych konsekwencji danego rozwiązania, w której uwzględnia się interesy oraz perspektywę różnych podmiotów podlegających prawu Rzeczypospolitej: kobiet i mężczyzn, pracowników i pracodawców, konsumentów i przedsiębiorców, osób młodszych i starszych, pełnosprawnych i dotkniętych niepełnosprawnością, obywateli lepiej i gorzej wykształconych, bardziej i mniej zamożnych itd.

W trakcie warsztatów przedstawione zostaną przepisy, z których wynika obowiązek sporządzania oceny skutków regulacji w procesie stanowienia prawa (Konstytucja, Regulamin Sejmu, Zasady techniki prawodawczej, Regulamin pracy Rady Ministrów), sposoby ich realizacji (zawartość tzw. „osr”, reguły konstruowania uzasadnień projektów ustaw, metody szacowania skutków gospodarczych) oraz poddane analizie przykłady praktyczne (na podstawie doświadczeń z lat ubiegłych, m.in. w związku z projektem ustawy o ograniczeniu handlu w niedziele, wybranych ustaw podatkowych i regulujących działalność gospodarczą).

Wykazane zostanie, że – choć projektodawca nie zawsze wywiązuje się z obowiązku wszechstronnego oszacowania konsekwencji społeczno-ekonomicznych postulowanych rozwiązań, a ocena skutków regulacji nie zawsze pozwala trafnie przewidzieć następstwa zmiany prawa – tworzenie regulacji jest zadaniem odpowiedzialnym, wymagającym przyjęcia „perspektywy wspólnotowej”, a zlekceważenie zasady dobra wspólnego w procesie legislacyjnym wywołać może nie tylko niepożądane napięcia społeczne oraz realne straty gospodarcze, ale również pociąga za sobą ryzyko stwierdzenia niekonstytucyjności prawa.



DR HAB. ARTUR KOTOWSKI

Adiunkt na Wydziale Prawa i Administracji, Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Autor 50 publikacji z dziedziny teorii i filozofii prawa oraz prawa karnego. W działalności naukowej zajmuje się wykładnią i stosowaniem prawa, empiryczną analizą prawa oraz teorią procesu karnego. Kierownik grantu Narodowego Centrum Nauki poświęconego empirycznej analizie orzecznictwa Izby Cywilnej i Karnej Sądu Najwyższego oraz Naczelnego Sądu Administracyjnego. Doktorat uzyskał w roku 2012 na Uniwersytecie Marii Skłodowskiej w Lublinie, zaś w roku 2019 stopień doktora habilitowanego nauk prawnych na tym samym uniwersytecie.



Rola i granice wykorzystania pozajęzykowych metod wykładni prawa

Podstawowy podział metod wykładni prawa, przyjętych w tradycji interpretacyjnej kontynentalnej kultury prawnej, dzieli je na rozumowania językowe, systemowe i funkcjonalne. Znana jest także typologia polegająca na wyszczególnieniu wykładni słownej (językowej) i realnej, która łączy cechy właściwe interpretacji systemowej i funkcjonalnej. Oba podziały charakteryzują się zatem tym, że przeciwstawiają różnego rodzaju operacjom lingwistycznym na tekstach prawnych inne niż wywodzone z reguł językowych metody działania interpretatora, ale wszystkie ukierunkowane są na pozyskanie znaczenia wypowiedzi normatywnej.

Niewątpliwie struktura współczesnych aktów normatywnych jak i całego systemu prawa jest bardzo złożona. Badania nad językiem prawnym dowodzą, że współczesne akty normatywne są tzw. tekstami lingwistycznie trudnymi w percepcji (mierzonej wysiłkiem poznawczym koniecznym do ustalenia ich znaczenia). Z kolei system tych aktów jest nie tylko obszerny ilościowo (duża liczba przedmiotów regulacji będących przedmiotem wypowiedzi normatywnej prawodawcy), co wewnętrznie złożony. Racjonalnemu prawodawcy niezwykle trudno jest uzyskać wewnętrzną spójność semantyczną systemu prawa, co wynika ze specyfiki wysoko specjalistycznej materii, którą usiłuje on uregulować. Ponadto cel ten jest utrudniony już zastanymi znaczeniami, ugruntowanymi przez doktrynę prawniczą. Jeżeli dołożymy do tego zjawiska cechy współczesnego dyskursu naukowego o prawie, w szczególności jego hermetyczny charakter oraz poziomą strukturę (nauki ogólne prawoznawstwa a dogmatyki prawnicze), to prawo nawet ograniczane do aspektu językowego jawi się jako niezwykle złożony fenomen, który wymaga do jego poznania

złożonych, niejednokrotnie skomplikowanych operacji interpretacyjnych.

Jednocześnie uogólnianie sposobów działania interpretatora do językowych i pozajęzykowych metod wykładni prawa napotyka na pewne ograniczenia. Po pierwsze, podział ten wyrósł na bazie systemu prawa nie tak rozwiniętego jak współczesny. Po drugie, metody te usiłują zgeneralizować różnego rodzaju operacje interpretacyjne, których charakter jest niekiedy złożony, ponadto niekiedy nie daje się on precyzyjnie wpasować w formułę takiej, a nie innej metody wykładni. Znaczenie uzyskiwane w odwołaniu się jedynie do metody językowej jest często już niewystarczające. Poza tym, tak istotny element jak wartości, które prawodawca usiłuje wkomponować w znaczenia normatywne, rzadko kiedy dają się wprost zdefiniować poprzez odwołanie się do znaczenia czysto językowego. Wreszcie, rozumowania *stricto* językowe są często przydatne do pozyskiwania znaczenia konkretnych norm (reguł, działających tak jak opisywał to H.Hart na zasadzie „wszystko, albo nic”), ale równie często napotykają na własne deficyty w przypadku pozyskiwania znaczenia zasad prawa (standardów, odwołujących się właśnie do wartości, celów polityki prawa, kryteriów ogólnych itp.). Stąd rola pozajęzykowych metod wykładni prawa, zawsze obecnych w tradycji interpretacyjnej kultury prawa stanowiącego, współcześnie wzrasta.

Wykład dotyczy zatem próby określenia granic wykorzystania pozajęzykowych metod wykładni prawa, w szczególności z uwzględnieniem poszczególnych gałęzi prawa. Pojawia się tutaj szereg konkretnych zagadnień, jak: wzajemna relacja metod wykładni; językowej i pozajęzykowych, przełamanie znaczenia językowe oraz ogólne reguły (dyrektywy preferencji) poszczególnych metod wykładni. Dodatkowo wypada odnieść się do współczesnego zdefiniowania gwarancyjnej funkcji językowej metody wykładni prawa.



ARKADIUSZ RADWAN



Monteskiusz zmęczony – o wyzwaniach ustrojowych współczesności



DR HAB. JAN RUDNICKI

Doktor habilitowany nauk prawnych, adiunkt w Katedrze Europejskiej Tradycji Prawnej WPiA UW. Autor publikacji naukowych z zakresu historii prawa, prawa rzymskiego i porównawczego (w tym monografii „Dekodfikacja prawa cywilnego w Polsce”).



Kodeks cywilny jako narzędzie polityczne

Można zaryzykować twierdzenie, że na co dzień prawnicy traktują sam kodeks jak i postulat kodyfikacji prawa jako zagadnienie czysto techniczne. Niewątpliwie przepisy prawne można bowiem „zorganizować” w bardzo różny sposób, a jednym z nich – chyba do dziś uważanym za najbardziej pożądany – jest ich zebranie, usystematyzowanie i spięcie wspólną aksjologią w szczególnym akcie prawodawczym, który przyjęliśmy nazywać kodeksem. Przywyknięcie do kodeksu jako stałego elementu prawnej rzeczywistości odwraca naszą uwagę od szerszego kontekstu historycznego – ten zaś uświadamia, że kodyfikacja (zwłaszcza na polu prawa cywilnego) jest nade wszystko wyrazem określonych ideologii i polityk oraz narzędziem ich wdrażania. Dla udowodnienia tej tezy przywołane zostaną przykłady zarówno tzw. wielkich kodyfikacji cywilnych XVIII i XIX stulecia, a także najistotniejszy dla nas *casus* kodeksu cywilnego polskiego. Za klamrę spinającą wykład posłuży zaś pytanie, po co do tego politycznego narzędzia sięgają dziś także Chiny, a więc państwo będące zarazem odrębną, prastarą cywilizacją, która wypracowała własne instrumentarium prawno-polityczne?



DR EWA RZYMKOWSKA

Wykładowca Wyższej Szkoły Gospodarki Krajowej w Kutnie, wiceprzewodnicząca Rady Miasta Kutno, kierownik Placówki Terenowej KRUS w Kutnie, obszar zainteresowań: doktryny polityczno-prawne, samorząd terytorialny.



Zwiększenie udziału obywateli w procesie kontrolowania oraz funkcjonowania władz samorządowej

Celem wykładu jest omówienie najważniejszych założeń ustawy z dnia 11 stycznia 2018 r. o zmianie niektórych ustaw w celu zwiększenia udziału obywateli w procesie wybierania, funkcjonowania i kontrolowania niektórych organów publicznych w kontekście samorządu gminy, powiatu i województwa. W ramach niniejszego wystąpienia zaprezentowane zostaną wybrane elementy ustawy, które mają istotne znaczenie dla społeczności lokalnej, a także codziennej pracy radnych, ze szczególnym uwzględnieniem kwestii budżetu obywatelskiego, inicjatywy uchwałodawczej mieszkańców, interpelacji i zapytań oraz nowych uprawnień radnych.



DR MIKOŁAJ RYSIEWICZ

Zastępca dyrektora Biura Gabinetu Prezydenta w Kancelarii Prezydenta RP, specjalista z zakresu historii doktryn politycznych i prawnych.



Zasady naczelne ustroju państwa a kompromis konstytucyjny – warsztat

Problematyka warsztatu dotyczyć będzie materii konstytucyjnej, zwłaszcza zaś pojęcia „zasad naczelnych” (lub też „zasad ogólnych”) ustroju politycznego. Zajęcia składać się będą z dwóch części: wprowadzenia teoretycznego oraz dyskusji. W ramach pierwszej z nich autor przedstawi pojęcie „zasad naczelnych” w oparciu o sformułowaną w 1937 r. koncepcję Konstantego Grzybowskiego (1918-1968; praca „Zasady konstytucji kwietniowej”), następnie skrótkowo omówi genezę zasad naczelnych oraz funkcje, jakie spełniają w porządku prawno-państwowym.

Tłem dla rozważań będzie socjologiczne ujęcie pojęcia „konstytucji” charakterystyczne dla przeciwników podejścia pozytywistyczno-normatywistycznego (m.in. Carla Schmitta).

W części dyskusyjnej warsztatu uczestnicy zostaną postawieni przed zadaniem identyfikacji podstawowych zasad naczelnych ustroju Rzeczypospolitej Polskiej, na podstawie konstytucji z 1997 r. (szczególnie Preambuły oraz części I). Wybrane zasady zostaną następnie poddane analizie i interpretacji mającej na celu identyfikację ich politycznej treści.

Ostatnim elementem części warsztatowej będzie wspólna refleksja nad aktualnością zasad ogólnych z konstytucji 1997 r. oraz ich dostosowaniem do aktualnego kontekstu społeczno-politycznego, a także nad możliwością społeczno-politycznego kompromisu odnośnie tych zasad, które mogłyby stać się fundamentem nowej ustawy zasadniczej.



JAN ROKITA

Wykładowca w Akademii Ignatianum w Krakowie, publicysta, w okresie PRL działacz opozycji, w latach 1992–1993 minister – szef Urzędu Rady Ministrów, poseł na Sejm w latach 1989–2007 (X, I, II, III, IV i V kadencji). Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.



Doświadczenie ustrojowe III RP. Uwagi na przyszłość



BELWEDERSKA *Szkola Letnia*

PRAWO DLA DOBRA WSPÓLNEGO

AKSJOLOGICZNE PODSTAWY KONSTYTUCJI

PROF. DR HAB. ZBIGNIEW STAWROWSKI

AKSJOLOGIA I DUCH KONSTYTUCJI III RZECZYPOSPOLITEJ

PROF. DR HAB. ZBIGNIEW STAWROWSKI

CZY POLACY STALI SIĘ BARDZIEJ OBYWATELAMI PO DWUDZIESTU LATACH TRANSFORMACJI USTROJOWEJ?

PROF. DR HAB. ZBIGNIEW STAWROWSKI

POLSKA TRADYCJA KONSTYTUCYJNA

PROF. UW DR HAB. JAN MAJCHROWSKI

AKSJOLOGICZNE PODSTAWY KONSTYTUCJI

PROF. DR HAB. ZBIGNIEW STAWROWSKI

Poniższy tekst składa się z dwóch części. Pierwsza, rekonstruuje aksjologiczne przesłanki, na których opiera się projekt nowoczesnego państwa konstytucyjnego, wskazując jego założenia, ich instytucjonalne konsekwencje oraz najważniejsze obszary napięć, które w jego ramach się pojawiają. Druga część wskazuje najistotniejsze dylematy, które należałoby rozważyć i świadomie rozstrzygnąć podejmując się dzieła zaprojektowania konstytucji w konkretnej sytuacji Polski *Anno Domini* 2007.

Każda wspólnota międzyludzka posiada coś, co ją integruje, wyróżnia od innych wspólnot i określa jej tożsamość. Są to – mówiąc najprościej – wspólnie wyznawane wartości łączące tych wszystkich, którzy do wspólnoty należą. Stawiając pytanie o przekaz aksjologiczny zawarty w konstytucji odnosimy się do szczególnej wspólnoty – do wspólnoty politycznej, w jej najbardziej rozwiniętej, współczesnej formie, którą nazywamy **państwem konstytucyjnym**. U podstaw takiego państwa oraz jego instytucjonalno-prawnej struktury zapisanej w ustawie zasadniczej leżą pewne fundamentalne wartości, stopniowo uświadamiane i następnie powszechnie zaakceptowane w ciągu długiego dziejowego procesu, który dokonał się w naszym kręgu kulturowym. W tym sensie już sama forma państwa konstytucyjnego – abstrahując jeszcze od wartości wyrażonych *expressis verbis* w tekście konstytucji – niesie w sobie określoną propozycję aksjologiczną, określoną wizję człowieka i międzyludzkiej wspólnoty.

Należy przede wszystkim podkreślić, że państwo konstytucyjne jest **projektem**, wypracowanym w teoretycznych debatach i weryfikowanym w praktyce politycznej, który stanowi modyfikację i udoskonalenie przełomowego wynalazku czasów nowożytnych – nowoczesnego państwa wolności. Aby odsonić wartości, na których ufundowane zostało i które urzeczywistnia państwo konstytucyjne musimy sięgnąć do samych początków, nie tylko do nowoczesnego państwa sprzed epoki konstytucji, ale do państwa jako takiego.

1. Pierwszą i podstawową wartością dla każdej bez wyjątku wspólnoty politycznej – czy to będzie wspólnota plemienna, antyczna polis, współczesne państwo, czy jakkolwiek inny organizm polityczny – jest samo jej **istnienie**. Aby tę wartość skutecznie realizować, niezbędna jest **instytucja władzy**. Niezbędna nie tylko z tego względu, że podstawowym zadaniem władzy jest właśnie ochrona wspólnotowego bytu, ale również w tym sensie, że bez wyposażonej w odpowiednią moc władzy zwierzchniej wspólnota polityczna po prostu nie istnieje. Władza jako taka, będąc zarówno nośnikiem, jak i strażnikiem owej podstawowej wartości, jest więc w swej istocie zasadniczo „dobra”, niezależnie od wszelkich nadużyć popełnianych przez sprawujących ją ludzi. Dobra „w sobie” władza może oczywiście działać lepiej lub gorzej, może dobrze lub źle wypełniać swoją funkcję.

W tym węższym sensie „dobra” władza to władza skuteczna, taka, która potrafi skutecznie chronić swoją wspólnotę. Tak rozumiana **skuteczność** stanowi pierwsze kryterium, wedle którego należy oceniać działania władzy w każdym organizmie państwowym.

Władza pełni przede wszystkim funkcję jednoczącą. Stanowi ośrodek, który integruje wspólnotę, zapewnia jedność jej działań, określa ich kierunek i hierarchię wyznaczanych celów. Żadna społeczność nie może obejść się bez kogoś, kto nią rządzi, bowiem „wszędzie tam, gdzie jest wielość, musi być czynnik rządzący”. W sytuacji, gdy w ewidentny sposób brakuje jedności działania, trudno już mówić o jednej politycznej wspólnocie. Mamy wtedy raczej do czynienia z wieloma rywalizującymi ze sobą ośrodkami władzy a tym samym z wieloma potencjalnymi organizmami politycznymi. **Jedność** wspólnoty państwowej, w tym także jedność i niepodzielność samej władzy, to wartość, która w gruncie rzeczy mieści się w pojęciu istnienia państwa i stanowi tylko jego dookreślenie. Z tego względu rozróżnienie i wydzielenie w ramach jednej instytucji władzy rozmaitych władz, (np. wykonawczej, ustawodawczej czy sądowniczej) ma znaczenie funkcjonalne a nie realne. Gdyby stały się one faktycznie odrębnymi ośrodkami władzy, państwo jako jedność polityczna ległoby w gruzach.

Konkretna wspólnota państwowa, której bytu i jedności ma skutecznie bronić władza zwierzchnia, istnieje zawsze jako wspólnota o określonej tożsamości etycznej. Każda rzeczywista wspólnota posiada swoisty normatywny porządek zachowań uznawanych w jej obrębie za właściwe. Ten właśnie porządek odzwierciedla jej system wartości (etos), określa jej swoiste etyczne imię. Władza, chroniąc swoją wspólnotę, musi równocześnie skutecznie troszczyć się o jej etyczną tożsamość. Inaczej wspólnota podzieliłaby się wewnętrznie, albo przestałaby być sobą – przestałaby istnieć jako ta właśnie jedna etyczna wspólnota. Etyczny ład wspólnoty wyrażony w postaci pisanych i niepisanych praw stanowi dla jej członków jedyną miarę oceny zachowań; kto postępuje zgodnie z tym porządkiem, postępuje słusznie i sprawiedliwie. **Sprawiedliwość** to synonim etycznego porządku. Władza strzegąc tego porządku, oddaje każdemu to, co mu się słusznie należy – stosownie do jego czynów, i według zasad obowiązujących w tej wspólnocie. Działanie władzy „niczym innym nie jest (...) jak wprowadzaniem w życie zasad sprawiedliwości”. Im lepiej i skuteczniej władza to czyni, tym bardziej jest sprawiedliwa.

Każda wspólnota państwowa – poczynwszy od tych najbardziej archaicznych, po współczesne – zawsze zawiera w sobie oba wymienione wyżej elementy: określony porządek etyczny wyznaczający swoisty rytm życia społeczności i dostarczający jej członkom miary tego, co słuszne i sprawiedliwe oraz władzę, która stoi na straży wspólnoty – jej fizycznego przetrwania i etycznej tożsamości. Mamy tym samym dwa uzupełniające się punkty widzenia, pozwalające ocenić konkretną organizację państwa: Z jednej strony, istnieje szczególna „aksjologia” (a raczej pragmatyka) sprawowania władzy jako takiej, której

podstawową miarą jest skuteczność. Z tej perspektywy możemy sensownie porównywać funkcjonujące w danej epoce konkurencyjne rozwiązania instytucjonalne (np. antyczną demokrację i monarchię, liberum veto i zasadę większości, wojsko zaciężne i pospolite ruszenie, system prezydencki i system rządów parlamentarnych) i oceniać je jako te, które osłabiają lub wzmacniają jedność działania oraz skuteczność władzy państwowej. Ta pragmatyczna perspektywa musi zostać uwzględniona również wtedy, gdy przystępujemy do oceny czy projektowania konkretnej konstytucji. Dobrze zorganizowany system instytucji władzy państwowej to przede wszystkim taki, który działa skutecznie.

Z drugiej strony, podstawą aksjologicznej oceny organizmu państwowego musi być również konkretna treść leżącego u jego podstaw etycznego ładu. Na tle jednolitych etycznie organizmów państwowych różnych epok przełomowy charakter nowożytnego projektu państwa polega na tym, że u jego podstaw znalazły się wartości uniwersalne. Władza ma tu za zadanie nie tyle chronić specyficzny sposób życia wspólnoty w całym jego etycznym bogactwie, lecz jedynie te wartości, która przysługują człowiekowi jako takiemu – jako wolnej, rozumnej jednostce. Opis, jak doszło do powstania takiego modelu państwa możemy tutaj pominąć. Przedstawmy natomiast jego aksjologiczny fundament i wynikające z niego instytucjonalne konsekwencje.

2. Istotę nowoczesnego państwa prawa – państwa w sensie ścisłym – opartego na zasadzie poszanowania moralnej autonomii jednostki można wyrazić następująco: o ile każda bez wyjątku wspólnota polityczna musi posiadać ośrodek władzy, który gwarantuje jedność jej działań, chroni jej istnienie przed zewnętrznym zagrożeniem i utrzymuje obowiązujący we wspólnocie etyczny ład, o tyle państwo jako stan bezpieczeństwa prawnego pojawia się wtedy, gdy władza, zaprowadzając wewnętrzny pokój i porządek, czyni to w imię sprawiedliwych zasad, które każdemu pełnoprawnemu członkowi wspólnoty oddają to, na co naprawdę zasługuje jako istota rozumna, to znaczy traktują go jako wolną, samodzielną i odpowiedzialną osobę.

Podstawowym aksjomatem perspektywy moralnej jest postrzeganie każdego człowieka jako istoty, która posiada absolutną wartość – **godność**, i którą należy traktować „zawsze zarazem jako cel, nigdy tylko jako środek”. Opierając się na takim imperatywie, można wyprowadzić rozumny kształt porządku politycznego, w którym jednostki – nawet te, które nie potrafią lub nie chcą postępować moralnie – są poddane moralnie słusznym, to znaczy szanującym ich godność, zewnętrznym regulacjom. Całość owych regulacji tworzy racjonalną strukturę: to, co nazywamy właśnie **państwem prawa** – stanem publicznie uznanych i gwarantowanych mocą władzy państwowej słusznym uprawnień, zapewniającym wszystkim bez wyjątku jednostkom, (jeśli trzeba, również za pomocą przymusu) bezpieczne i sprawiedliwe korzystanie z ich wolności. Państwo prawa stoi na straży i gwarantuje przestrzeganie następujących zasad:

- 1) **poszanowania nienaruszalności przestrzeni prywatnej**, to znaczy życia, nienaruszalności cielesnej, własności prywatnej, jak również prywatności rodziny;
- 2) **swobody działania** w przestrzeni publicznej ograniczonej jedynie taką samą swobodą innych jednostek (lub społeczności).

Zasady te, rozmaicie formułowane i konkretyzowane, stanowią treść powstających od końca XVIII wieku kart praw człowieka i obywatela. Można jednak powiedzieć więcej: żadne „prawo”, którego nie da się przedstawić jako rozwinięcie i uszczegółowienie jednej z owych dwóch zasad, nie zasługuje – z punktu widzenia logiki tak pojętego państwa – na to, by wpisać je do katalogu praw podstawowych.

Kluczową rolę w państwie prawa odgrywa **instytucja wymiaru sprawiedliwości**, która – kierując się rozumnym osądem i rozsądnymi zasadami – rozstrzyga konflikty, wyrokuje o przestępstwach, wyznacza sprawiedliwe kary, i w ten sposób oferuje organom władzy właściwą podstawę przywracania naruszonego porządku. W ten sposób państwo prawa tworzy i chroni przestrzeń, w której bez większych napięć i konfliktów mogą przebywać obok siebie ludzie oraz wspólnoty tak radykalnie różniące się między sobą, że w innym organizmie politycznym zakończyłoby się to natychmiast ich wyniszczającą walką. Wszyscy uzyskują w takim państwie jednakową ochronę prawną i mogą się cieszyć niewątpliwym, wspólnym dla wszystkich dobrem: sprawiedliwością, bezpieczeństwem i pokojem.

Ten spójny model państwowości nie zawierał początkowo pewnych elementów, które dziś w potocznym mniemaniu przyjmuje się za oczywiste. Po pierwsze, tak rozumiane państwo prawa to państwo ograniczone w swych funkcjach do minimum. Jego celem – jako państwa ufundowanego na wolności – nie jest zapewnianie ludziom szczęścia i pomyślności, lecz wyłącznie gwarantowanie im warunków elementarnego bezpieczeństwa, by mogli oni w pokoju – samodzielnie, bądź w ramach rozlicznych stowarzyszeń i wspólnot – realizować swój pomysł na dobre życie. W ramach tych założeń instytucje tak zwanego „państwa socjalnego” zajętego troską o dobrobyt swoich obywateli, które wypełniają ogromną część współczesnych organizmów państwowych, nie znalazłyby racjonalnego i moralnego uzasadnienia.

Nie znaczy to jednak, że ważne pytanie, co zrobić z ludźmi, którzy nie potrafią w pełni korzystać z bezpiecznej przestrzeni wolności, lecz potrzebują wsparcia, może zostać zlekceważone. Wydaje się, że istnieje możliwość zmierzenia się z tym problemem, zachowując podstawowe założenia państwa wolności i nie wpadając w pułapkę państwa socjalnego. Drogę ku temu otwiera uznanie **solidarności** za istotną wartość, która ma być jednak realizowana nie tyle bezpośrednio przez państwo, co raczej – jako spontaniczna międzyludzka solidarność – szanowana i wspierana przez jego instytucje. Państwo powinno interweniować tylko w sytuacjach szczególnych, nagłych i jednorazowych, i wymagających

takiej mobilizacji środków, którą tylko ono może skutecznie przeprowadzić. Obowiązuje je jednak **zasada pomocniczości** – interwencje państwa poza właściwą mu sferą gwarantowania bezpieczeństwa i sprawiedliwości, muszą być czymś wyjątkowym i ostatecznym.

Po drugie, państwo prawa początkowo wcale nie było pomyślane jako państwo o ustroju demokratycznym. Narodziło się ono w epoce, gdy istnienie monarchii jako władzy zwierzchniej było oczywistym faktem. Najważniejsze było to, aby władca swe rządy sprawował sprawiedliwie, by uznać nowy aksjologiczny porządek oparty na poszanowaniu podstawowych praw jego poddanych, i sam uczynił się ich gwarantem. Natomiast **idea demokratyczna**, która z pełną mocą pojawiła się wraz z rewolucją we Francji, zdemaskowała suwerenną władzę monarchy jako „wieczną zbrodnię” (Saint-Just), i na jej miejsce postawiła zwierzchność ludu. W wieku XX wieku demokracja stopniowo stopiła się z państwem prawa w jedną niemal nierozróżnialną całość. Mogło do tego dojść, ponieważ za uzasadnieniem prawomocności demokracji stała również idea autonomii jednostki, interpretowana jednak w taki sposób, że podstawowym prawem człowieka okazywało się nie tyle osobiste bezpieczeństwo i swoboda działania, lecz prawo do uczestnictwa w suwerennej władzy. Obie idee „państwa prawa” i „demokracji”, choć w ramach „demokratycznego państwa prawa” pozostają w pozornej symbiozie, w gruncie rzeczy – właśnie ze względu na inne rozumienie tego, kim jest człowiek i na czym polega jego wolność – znajdują się w stanie stałego napięcia czy wręcz walki. W długiej perspektywie są one nie do pogodzenia a rozpowszechnienie się postaw demokratycznych oznacza stopniową erozję etycznych fundamentów państwa prawa.

3. Pierwsze konstytucje wprowadzając porządek polityczny oparty o zasady państwa prawa nie łączyły ich – poza przypadkiem Francji – z ideą demokracji. Co więcej, idea państwa konstytucyjnego była pomyślana jako polemiczna wobec wszelkiej władzy o skłonnościach absolutystycznych: zarówno monarszej, jak i demokratycznej. W przypadku XIX wiekowych europejskich konstytucji okrojowanych, które swoim poddanym nadawał monarcha, oznaczały one akt obustronnego zobowiązania prawem, a tym samym ograniczenie zakresu zwierzchniej władzy, uznanie jej odpowiedzialności oraz ustanowienie prawnych gwarancji dla wolności obywateli. W państwach, gdzie – tak jak w przypadku Stanów Zjednoczonych Ameryki – konstytucja faktycznie konstituowała nowe państwo a nie tylko reformowała dotychczasowy organizm polityczny, była ona nie tylko czynnikiem ograniczającym władzę, ale czymś, co ją powoływało do istnienia, nadawało jej strukturę i wyznaczało zakres jej działania. Zgodnie z ideą państwa konstytucyjnego „każdy organ władzy państwowej istnieje i funkcjonuje dopiero w ramach konstytucji, jest *pouvoir constitué*. (...) I nawet sam lud – również w przypadku państwa demokratycznego – nie włada konstytucją. Występuje on w porządku konstytucyjnym jako organ z określonymi, wyraźnie przypisanymi mu kompetencjami, na przykład wybór reprezentacji narodu ewentualnie udział w referendum. Jeśli już w ogóle, to suwerenem jest tutaj sama konstytucja”. Innymi słowy, koncepcja ta

pomyślana jest tak, by wyeliminować pojęcie suwerenności z refleksji nad państwem. Pojawia się ono tylko wtedy, gdy zadajemy pytanie o władzę konstytuującą, o to, kto może stanowić i legitymizować konstytucję. Okazuje się, że zwierzchnik – naród – wypowiada swoją wolę w akcie stanowienia konstytucji, przenosi na nią swe uprawnienia, potem zaś znika. Odtąd życie wspólnoty państwowej toczyć ma się pod niepodzielnymi rządami ustawy zasadniczej.

To, co przynosi ze sobą idea państwa konstytucyjnego, jest więc nie tyle wzbogaceniem aksjologicznej treści porządku państwowego – tę wypełnia przede wszystkim idea państwa prawa, lecz raczej próbą nowego sformułowania koncepcji jedności państwa i jej zwierzchniej władzy. Przekonanie, że to konstytucja staje się – od momentu jej przyjęcia – jedynym suwerenem, jest jednak fikcją. Ustawa zasadnicza to ostatecznie tylko zapis pewnego normatywnego porządku, żadna zaś norma nie ma mocy, by stosować samą siebie. Problemu najwyższej władzy jako mocy sprawczej nie da się obejść i wyeliminować, ponieważ państwo może istnieć wyłącznie jako jedność działania, gwarantująca zewnętrzne bezpieczeństwo oraz wewnętrzny porządek i pokój społeczny. Musi w nim znajdować się ośrodek władny podejmować ostateczne decyzje, co staje się oczywiste szczególnie wtedy, gdy dochodzi do sporów wokół rozumienia treści konstytucji czy wręcz jej obowiązywalności.

Obecnie, w stosunku do dawnej alternatywy: monarcha – naród, w ramach państwa konstytucyjnego pojawia się nowy pretendent do suwerenności, powołany na mocy samej konstytucji – mianowicie sądownictwo konstytucyjne. Władza sądownicza, której nawet Monteskiusz nie uważał za władzę w ścisłym sensie, ponieważ nie stała za nią żadna samoistna siła, staje się – jako sąd konstytucyjny – czynnikiem rozstrzygającym o najważniejszych działaniach państwa. Okazuje się tym samym rzeczywistym i konkurencyjnym wobec innych organów władzy ośrodkiem decyzji politycznych. W ramach państwa prawa musi to rodzić nowe, nieznane wcześniej problemy.

II. Na tle powyżej zarysowanych aksjologicznych ram nowoczesnego państwa prawa zasygnalizujemy najważniejsze kwestie i dylematy, które należałoby rozważyć, przystępując do prac nad konstytucją tu i teraz – w Polsce AD 2007. Chodziłoby tutaj o podejście całościowe, a nie o mniej lub bardziej istotne, szczegółowe korekty, które można by wprowadzić do obowiązującej ustawy zasadniczej, aby poprawić bieżące funkcjonowanie państwa. Niektóre z podniesionych kwestii mogą wydać się dość zaskakujące, ponieważ kwestionują pojęcia i instytucje, uchodzące za nienaruszalne dogmaty. Jest to, oczywiście, tylko pierwszy, wstępny szkic, wymagający uzupełnienia o inne istotne problemy. Daleko mu również do systematyczności, choć kolejność przedstawionych poniżej kwestii stara się zachować określony porządek.

1. Aby przygotowanie i uchwalanie nowej ustawy zasadniczej miało sens, muszą zostać spełnione **a)** określone warunki (**moment konstytucyjny**), muszą również zostać dokonane pewne **b) rozstrzygnięcia przedkonstytucyjne** – poprzedzające stanowienie konstytucji, które w istotny sposób rzutują na kształt projektowanego porządku państwowego.

a) Przede wszystkim, musi istnieć siła polityczna, zdolna narzucić nowy porządek; musi również istnieć wizja ładu politycznego stanowiąca istotną alternatywę dla dotychczasowego *status quo*.

W 1997 r. taką wystarczającą siłę, jak się okazało, posiadała „koalicja konstytucyjna”, która uchwaliła Konstytucję RP, natomiast ustanowiony, a raczej utrwalony wówczas porządek państwa – ze względu na to, kto go ustanowił – był i jest nadal obciążony „grzechem pierworodnym” jawnego lekceważenia zasady sprawiedliwości, co dyskwalifikuje go jako etyczną podstawę państwa.

Obecnie, uchwalenie nowej konstytucji wymaga nie tylko wystarczającej siły politycznej, ale i ostatecznego rozwiązania kwestii komunistycznej przeszłości, zgodnie z bezwzględnym poszanowaniem wymogów sprawiedliwości.

b) Sam sposób stanowienia konstytucji ma ogromny wpływ na jej ostateczny kształt. Wyznaczenie ciała przygotowującego konstytucję oraz określenie procedury jej przyjmowania nie tylko jasno pokazuje, gdzie w państwie znajduje się ośrodek suwerennej władzy, ale również wyznacza dalszy przebieg tych prac. Przekazanie zadania opracowania tekstu parlamentowi (Zgromadzeniu Narodowemu), czy też wyłonionej z niego komisji konstytucyjnej – jak to miało miejsce w przypadku obowiązującej w Polsce konstytucji – oznacza, że w gruncie rzeczy dominującą rolę w państwie odgrywa idea demokracji, zaś projektowane państwo ma zabezpieczać interesy ponadpartyjnej kasty demokratycznych polityków.

Parlament, postrzegany w duchu idei demokratycznej, w sposób naturalny aspiruje do pozycji suwerena i chce również wystąpić jako władza konstytuująca w akcie ufundowania porządku państwowego. Natomiast z punktu widzenia organicznej wizji państwa i władzy parlament jest tylko jednym z wielu elementów złożonego organizmu państwowego i nie ma powodu, by go w tej kwestii wyróżniać bardziej od innych, nie mniej koniecznych organów. Dlatego bardziej odpowiednia do stanowienia ustawy zasadniczej wydaje się raczej instytucja Konstytuanty, specjalnego ciała powoływanego tylko i wyłącznie w tym jednym celu, składająca się z członków posiadających odpowiednie kompetencje oraz niekwestionowany mandat na przygotowanie tekstu konstytucji. Jej powołanie z pewnością może przyczynić się do poprawy merytorycznej jakości, a także większej zwięzłości ustawy zasadniczej w stosunku do tej, która obowiązuje obecnie. Tak przygotowana konstytucja – aby nabrać jednoczącej wspólnotę mocy – powinna zostać zatwierdzona w ogólnonarodo-

wym referendum, przy zachowaniu zasady, że weźmie w nim udział co najmniej 50% (być może poprzeczkę tę należałoby nawet podnieść jeszcze wyżej!) uprawnionych do głosowania obywateli.

2. Powszechnie uznawany dziś za normę porządek państwowy przyjęło się określać mianem „**demokratycznego państwa prawa**”. Określenie to wymaga jednak wyjaśnienia i istotnej modyfikacji.

a) Państwo prawa bywa często rozumiane w duchu pozytywizmu prawniczego jako państwo prawne (por. art. 2 Konstytucji RP) – tzn. takie, którego porządek określony jest wyłącznie przez system obowiązujących norm, nie mających żadnego innego uzasadnienia niż to, że faktycznie obowiązują. Państwo prawa, tak jak je ujmuje nowożytna tradycja filozoficznej (m.in. Kant) ma jednak głębsze znaczenie, i odwołuje się – jako do swego uzasadnienia – do fundamentalnych, nienaruszalnych a więc transcendentnych wobec porządku prawa stanowionego wartości: godności człowieka, jego wolności, wreszcie do idei sprawiedliwości, która nie ma charakteru wyłącznie proceduralnego, lecz jest osadzona właśnie na tych podstawowych wartościach. Innymi słowy, w państwie prawnym mamy do czynienia wyłącznie z prawem pojmowanym jako *lex*, natomiast w państwie prawa (albo wyrażając to jeszcze mocniej: w państwie prawnym), konkretne ustawy podlegają ocenie również z perspektywy *ius*.

Sam pomysł nadania państwu konstytucji, a przede wszystkim umieszczenia w niej kodeksu praw podstawowych to w pewnym sensie próba zapisania językiem prawniczym tego, co bezwzględnie słuszne i sprawiedliwe. Konstytucja należy, co prawda, również do porządku prawa stanowionego, ale ze względu na swą formę i treść, dostarcza kryteriów oceny zwykłej działalności ustawodawczej. Ocena zgodności ustawy z konstytucją przez powołany do tego organ to zinstytucjonalizowana forma moralnej oceny obowiązującego prawa jako sprawiedliwego bądź niesprawiedliwego. Porządek etyczny zapisany w konstytucji w stosunku do normalnie stanowionego prawa (*lex*) pełni rolę swojego rodzaju reprezentanta *ius*. Z tego względu zapisy konstytucyjne dotyczące podstawowych praw muszą być jak najbardziej doskonałe, jak najbardziej zbliżone do naszego aktualnego – tu i teraz – wyobrażenia o sprawiedliwym państwie.

b) Łączenie ze sobą – zarówno na poziomie idei, jak i praktyki – demokracji i państwa prawa to istotny błąd, ponieważ pozostają one w zasadniczym konflikcie. Państwo prawa, w którym do głosu dochodzi zasada demokratyczna, podlega etycznej erozji a w jego ramach wszelkie wymiary społecznego życia poddane zostają upolityczniającej je presji. To jednak państwo prawa nie zaś demokracja jest gwarantem poszanowania godności i wolności człowieka oraz przestrzegania sprawiedliwego porządku. Dlatego wydaje się wskazane, by – nie zważając na polityczną poprawność – zrezygnować z określenia „państwo demokratyczne”. W jego miejsce warto wprowadzić pojęcie polityczne, bardzo bliskie polskiej tradycji,

odzwierciedlające te wszystkie wartości, które powszechnie, choć mylnie, przypisywane są demokracji. Idea republiki – czyli, mówiąc po polsku: Rzeczypospolitej – zawiera w sobie podobny postulat obywatelskiego zaangażowania w politykę, ale motywowany nie tyle prawem każdego do sprawowania władzy, lecz postawą służebną wyznaczoną poczuciem odpowiedzialności za ojczyznę, rozumianą jako dobro wspólne. Semantyczna rewolucja polegająca na zastąpieniu demokratycznego ustroju politycznego ustrojem republikańskim nie musi wcale pociągać za sobą radykalnej ustrojowej rewolucji – niemal wszystkie instytucje uznawane za demokratyczne mogą funkcjonować jako instytucje republikańskie – lecz istotne przesunięcie akcentu, co poprzez drobne zmiany instytucjonalne, otwiera szansę zapoczątkowania stopniowej przemiany przenikającego państwo ducha.

Konkretną propozycją, streszczającą uwagi przedstawione w tym punkcie, byłby zapis, który dwa pierwsze artykuły obowiązującej aktualnie konstytucji zastępowałby prostym zdaniem: „**Rzeczpospolita Polska jest państwem prawa**”.

3. Najważniejszą pod względem aksjologicznym częścią konstytucji, gdzie *expressis verbis* przedstawiony zostaje etyczny fundament państwa, jest katalog praw podstawowych. Współcześnie główny problem stanowi inflacja owych praw, nie tylko ich zbytnie uszczegółowianie, ale również umieszczanie wśród nich postulatów politycznych, przywilejów socjalnych, czy ogólnie słusznych oczekiwań. (Pouczającą ilustrację takiego podejścia stanowi II rozdział obowiązującej w Polsce ustawy zasadniczej). Te wszystkie zbędne dodatki nie tylko zaśmiecają konstytucję, ale przyczyniają się również do dewaluacji rzeczywistych praw podstawowych, których istotne dla zachowania międzyludzkiego porządku znaczenie rozmywa się w zalewie dołączonych do nich *quasi*-praw.

Karta praw podstawowych musi zawierać dwie – wymienione wyżej – konstytutywne dla państwa prawa zasady:

- **poszanowania nienaruszalności przestrzeni prywatnej**, to znaczy życia, nienaruszalności cielesnej, własności prywatnej, jak również prywatności rodziny;
- **swobody działania** w przestrzeni publicznej ograniczonej jedynie taką samą swobodą innych jednostek (lub społeczności).

W gruncie rzeczy wyliczanie owych praw w konstytucji mogłoby się na nich zakończyć. Dla wymiaru sprawiedliwości – który zajmowałaby się tym, co zgodnie z nazwą do niego należy – taki zapis stanowiłby wystarczającą podstawę działania. Reszta mogłaby znaleźć się w stosownych kodeksach. Oczywiście zaletą takiego rozwiązania jest jego prostota. Natomiast za precyzowaniem, konkretyzowaniem i uszczegóławianiem praw podstawowych przemawiać może sytuacja kraju, w którym przez wiele lat te były one fikcją, i nadal przez wielu – w tym także urzędników państwowych – traktowane są nie jako osobiste uprawnienie, lecz jako coś, co przysługuje obywatelom z łaski państwa. Pytanie, czy i jak dalece prawa podstawowe należy dalej konkretyzować, pozostaje kwestią otwartą.

Innym argumentem na rzecz precyzowania podstawowych praw jest aktualna sytuacja „wojny cywilizacyjnej”, która toczy się wewnątrz świata Zachodu, gdy pojęciom dotychczas jednoznacznie rozumianym nadawany jest nowy sens. Jasne określenie „prawo do życia” nie wystarcza już dziś, by chronić życie każdego człowieka; podobnie oczywistą jeszcze niedawno instytucję małżeństwa, aby nie było żadnych wątpliwości, trzeba obecnie dookreślać jako związek kobiety i mężczyzny.

W kontekście „wojny cywilizacyjnej” niezbędne jest również pozytywne zdefiniowanie wolności religijnej jako „wolności do religii” – jako swobody publicznego wyrażania swoich przekonań religijnych, ograniczonej jedynie ogólnymi zasadami państwa prawa. Warto w tym miejscu podkreślić, że **wolność religijna nie jest niczym innym, jak najwyższym przejawem swobody** działania – jest swobodą podejmowania takich działań, które osoba uważa dla siebie za najbardziej istotne, bo dotyczące tego, co uznaje ona za najwyższe dobro;

Być może, w kontekście postępującej integracji europejskiej, warto byłoby – za przykładem Francji i jej nienaruszalnej zasady „świętości państwa” – wprowadzić swojego rodzaju konstytucyjny *hard core* – zestaw podstawowych praw, których sformułowania nie podlegałyby już żadnej zmianie i żadnym międzynarodowym negocjacjom.

W wykazie podstawowych praw istotne jest również jasne odróżnienie praw człowieka od praw obywatelskich (w tym przede wszystkim praw politycznych), to znaczy takich, które należą się człowiekowi niejako z natury, z tego tylko powodu, że jest człowiekiem, od takich, których źródłem jest przynależność do określonej wspólnoty politycznej, co z drugiej strony pociąga za sobą również konkretne obowiązki wobec tej wspólnoty. Ważne jest również, by jednoznacznie wskazać, że te pierwsze prawa, których źródłem jest przyrodzona godność osoby, mają wyższą rangę niż te drugie. Zapis taki rozstrzyga, że wspólnota polityczna będzie rozumiana i zorganizowana przede wszystkim jako państwo prawa nie zaś jako demokracja.

4. W kwestiach związanych z organizacją ustroju politycznego, należy zwrócić uwagę na to, że mamy tu do czynienia nie tyle z zestawem izolowanych od siebie instytucji, które można dowolnie i niezależnie od siebie zmieniać, reformować lub likwidować (np. propozycje zniesienia Senatu), lecz właśnie z jednym organizmem politycznym, w którym poszczególne organy władzy pełnią uzupełniające się funkcje i każda zmiana jednego z nich wpływa istotnie na funkcjonowanie pozostałych. Potrzebne jest więc spojrzenie całościowe.

Wiąże się z tym również konieczność porzucenia dogmatu o trójpodziale i równoważeniu się władz (por. art. 10 Konstytucji RP), który fałszuje rzeczywisty obraz relacji ustrojowych – jest, po pierwsze, pustą deklaracją, z której niewiele wynika, po wtóre traktuje władze nie jako istotne funkcje państwa, z których każda ma swoją odrębną istotną specyfikę, lecz jako konkurujące ze sobą ośrodki suwerennej władzy, co wręcz rozbija jedność państwa.

a) Podstawową sprawą dla tej jednostki jest rozstrzygnięcie, gdzie ma leżeć punkt centralny państwa, ośrodek **władzy zwierzchniej** stanowiący jądro suwerenności państwowej i reprezentujący naród jako właściwego suwerena – ośrodek, w którym kształtuje się wola polityczna i z którego ona wychodzi w postaci ostatecznych decyzji, wiążących wszystkich obywateli i wszystkie organy państwa.

Teoretycznie możliwe są tu dwa rozwiązania:

- albo będzie to parlament, co odpowiada wizji demokratycznej;
- albo będzie to prezydent (współczesny odpowiednik monarchy), co odpowiada organicznej wizji wspólnoty państwowej.

Natomiast wszelkie przejawy suwerenności, które wykazują inne instytucje państwowe (np. kompetencje zwierzchnie przysługujące premierowi w systemie kanclerskim, czy możliwość podejmowania ostatecznych rozstrzygnięć przez sądownictwo konstytucyjne) muszą znajdować swoje źródło i legitymację w jednej z dwóch powyższych form reprezentacji narodu.

b) Władza wykonawcza, na co wskazuje jej nazwa, nie jest wcale władzą najwyższą, lecz instytucją pochodną, której zadanie polega na wykonywaniu decyzji władzy zwierzchniej. Jej właściwa funkcja polega na rządzeniu lub, mówiąc precyzyjniej, zarządzaniu bieżącymi sprawami państwa zgodnie z ogólnymi wytycznymi przedstawionymi przez władzę zwierzchnią. Oczywistym zadaniem władzy wykonawczej jest również gwarantowanie i egzekwowanie decyzji podejmowanych przez wymiar sprawiedliwości, ponieważ jego sprawne i skuteczne funkcjonowanie stanowi warunek *sine qua non* istnienia państwa jako stanu bezpieczeństwa i pokoju, a jako takie wchodzi w zakres podstawowych obowiązków każdej władzy zwierzchniej stojącej na straży jednostki państwa.

Organizacja władzy wykonawczej jest uzależniona od tego, gdzie mieści się ośrodek suwerennej władzy. Może to być rząd z premierem na czele wyłaniany przez parlament, albo też rząd powoływany przez prezydenta i jemu podporządkowany.

c) Władza ustawodawcza – utożsamiana bywa powszechnie z parlamentem, co jest słuszne tylko wtedy, gdy podziela się demokratyczne rozumienie państwa. Historycznie rzecz biorąc, funkcje ustawodawcze były przez długi czas wyłączną prerogatywą monarchy jako władzy suwerennej a pierwsze powstające parlamenty nie miały stanowić praw, lecz wyrażać zgodę na stanowienie podatków.

Instytucja parlamentu pełni obecnie przynajmniej trzy istotnie różne funkcje. Parlament to:

- forum dyskusji nad sprawami państwa i ośrodek kształtowania się jednej woli politycznej – tu przejawia się element suwerenności, najwyższej władzy w demokratycznie rozumianym państwie;

- miejsce ścierania się interesów – uchwalanie budżetu i podatków;
- izba ustawodawcza w ścisłym sensie.

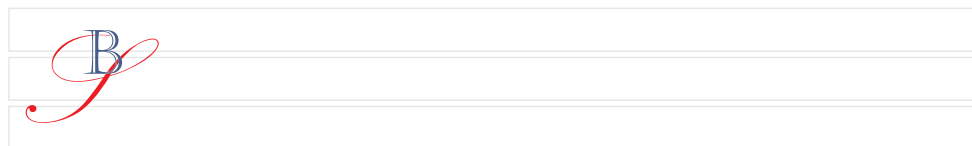
Na tle tych funkcji bardziej klarowny staje się problem podziału parlamentu na różne izby.

Zgodnie z tradycją demokratyczną, w ramach której parlament jako jedyna prawomocna reprezentacja całego narodu jest wyłącznym ośrodkiem władzy suwerennej, a tym samym pełni funkcję ustawodawczą i wyłania z siebie rząd, druga izba okazuje się w sposób oczywisty zbędna.

Ta druga izba, czyli Senat, to – historycznie rzecz biorąc – izba arystokratyczna, reprezentująca nie tyle cały naród, co jego „lepszą”, czy też „szlachetniejszą” część. Dlatego też przypisywano jej szczególną „moderującą” funkcję – wprowadzania do państwa elementów umiarkowania. Senat miał być przede wszystkim izbą namysłu i refleksji nad sprawami państwa. Wraz z powstaniem Stanów Zjednoczonych pojawiła się również inna koncepcja Senatu związana z federacyjnym modelem państwa.

Gdyby zachować intuicję, która kryje się za rozumieniem Senatu jako izby „lepszych” – oczywiście nie w sensie, jak to ongiś bywało, lepszego pochodzenia czy większego majątku, ale jako posiadanie lepszych kompetencji, wiedzy czy zasług wobec państwa – i stosownie do tego zaprojektować jego kształt, funkcje i sposób powoływania, instytucja ta mogłaby pełnić ważną rolę – właśnie namysłu, refleksji i rozsądku – w organizmie państwowym. Być może to właśnie Senatowi powinna przypaść główna rola w ściśle prawodawczej funkcji państwa, zaś Sejmowi można by pozostawić dwie pierwsze funkcje, które spełnia parlament.

d) Oddzielną kwestią pozostaje **władza sędziowska**, o której – jako o władzy politycznej – można mówić dopiero w momencie pojawienia się sądownictwa konstytucyjnego. Wcześniej sądy przypisane były władzy suwerennej – sędziowie byli urzędnikami, którzy sądzili w imieniu monarchy, ten zaś nie tylko pozostawał ostateczną instancją wymiaru sprawiedliwości, ale nawet stał ponad tym porządkiem – przejawem tego jest istniejąca do dziś instytucja prawa łaski. Pojawienie się sądownictwa konstytucyjnego, które może wpływać korygująco na kształt zwykłego ustawodawstwa (wkraczając w jakimś stopniu w kompetencje władzy ustawodawczej), na sposób rozumienia relacji między poszczególnymi władzami, a także, co najistotniejsze, określać poprzez wykładnię konstytucji, komu przysługuje zwierzchnia władza, jest dzisiaj, jak się zdaje, największym teoretycznym i praktycznym wyzwaniem dla refleksji nad państwem.



Wprowadzenie. Konstytucja – litera i duch

Każdy porządek międzyludzki, a w szczególności każdy porządek państwowy oparty jest na pewnych fundamentalnych wartościach. Chcąc odślonić aksjologiczny horyzont, w którym toczy się życie współczesnego państwa, w naturalny sposób kierujemy uwagę w stronę tekstu jego konstytucji. Konstytucja, oprócz określenia stosunków między obywatelami a władzą publiczną oraz ustalenia kompetencji i wzajemnych relacji poszczególnych władz, pełni jeszcze trzecią, być może najistotniejszą funkcję: „Konstytucja jest także pewnego rodzaju depozytem, który odzwierciedla i chroni wartości, ideały i symbole podzielane przez społeczność. Jest więc odbiciem tej społeczności, istotnym elementem jej samoświadomości, odgrywającym podstawową rolę w definiowaniu tożsamości narodowej, kulturalnej i aksjologicznej narodu, który ją przyjął”. Te najważniejsze wartości, na których zbudowany jest gmach państwa, zawarte są w konstytucji przede wszystkim w formie katalogu praw podstawowych. Często jednak uroczyste określenie etycznych fundamentów narodu dokonywane jest ponadto w poprzedzającej tekst preambule.

Można by sądzić, że określenie aksjologii Konstytucji RP przyjętej w 1997 roku jest rzeczą stosunkowo prostą. Wystarczy wypisać stosowne deklaracje z preambuły, zanalizować rozdział pierwszy zatytułowany „Rzeczpospolita”, gdzie zgodnie ze standardami konstytucjonalizmu powinny znajdować się zasady naczelne obowiązujące w państwie, wreszcie przedstawić zawarte w rozdziale drugim „Wolności, prawa i obowiązki człowieka i obywatela”.

Treść preambuły, pełna podniosłych zwrotów, takich jak: „prawda, sprawiedliwość, dobro, piękno”, „dobro wspólne”, chrześcijańskie dziedzictwo Narodu”, „poszanowanie wolności i sprawiedliwości”, „zasada pomocniczości”, „obowiązek solidarności”, wydaje się faktycznie wyrażać to, co najistotniejsze i co chętnie uznalibyśmy za etyczne fundamenty naszej wspólnoty. Naturalna ogólność tych sformułowań przemienia się jednak czasem w niepokojąco pustą ogólnikowość, jak choćby w zdaniu: „pomni gorzkich doświadczeń z czasów, gdy podstawowe wolności i prawa były w naszej Ojczyźnie łamane”, w którym nie wiadomo, czy chodzi o okres PRL-u, o okupację hitlerowską, rządy sanacji, czy też może o czasy jeszcze dawniejsze.

Przy lekturze zasadniczego tekstu konstytucji sprawa okazuje się jeszcze bardzo zawikłana. Owszem, bez trudu odnajdziemy w niej te wartości, które w naszym kręgu cywilizacyjnym uznawane są za standard: przede wszystkim odwołanie się do przyrodzonej godności człowieka jako źródła jego wolności i praw oraz następnie ich bujnie rozwinięty katalog.

Jeśli dodamy do tego, określenie Rzeczypospolitej Polskiej jako demokratycznego państwa prawnego oraz obecność innych powszechnie akceptowanych atrybutów nowoczesnie rozumianej państwowości (zasada podziału i równowagi władz, sądownictwo konstytucyjne etc.), to ocena, że w tekście konstytucji możemy znaleźć wszystkie elementy dobrze urządzonego państwa, wydaje się ze wszelkimi miarą trafna.

Rzecz jednak w tym, że w konstytucji znajdziemy również fragmenty, które mogą budzić zupełnie inne skojarzenia. Rzeczpospolita Polska „urzeczywistniająca zasady sprawiedliwości społecznej”, a nie po prostu „sprawiedliwości”, degradacja jednego z elementarnych praw osobistych – prawa własności, przez umieszczenie go w rozdziale zawierającym puste deklaracje przywilejów socjalnych, nieokreślona instytucja Rzecznika Praw Dziecka pomyślana polemicznie w stosunku do prawa rodziców i wiele, wiele innych przykładów podnoszonych w debacie konstytucyjnej – to wszystko pokazuje, jak ważne są „okulary”, przy pomocy których odczytujemy tekst ustawy zasadniczej. W zależności bowiem od tego, na co się zwraca uwagę a co pomija jako mało istotne, można w niej dostrzec wyraz odmiennych wizji państwa i rozmaitych systemów wartości. Przyznaje to zresztą jeden z głównych ekspertów Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego prof. Piotr Winczorek: „Konstytucja RP z 1997 roku nie jest więc, bo z natury rzeczy nie może być, aksjologicznie neutralna. Co więcej, jest pod tym względem wielobarwna, wielowątkowa, a można nawet powiedzieć, że aksjologicznie niespójna. Nie wchodząc w detale, da się w niej wyróżnić wątki narodowo-chrześcijańskie, chrześcijańsko-demokratyczne, liberalne i socjaldemokratyczne. Jest to, a w większym stopniu było, powodem jej krytyki ze strony ideowych integristów różnych obediencji, którzy chcieliby nadać Konstytucji RP jednolite (sobie miłe) zabarwienie ideowe”.

To, że konstytucja nie może być aksjologicznie neutralna, jest rzeczą oczywistą. Jest jednak również oczywiste, że jeśli ma ona jednoczyć a nie anarchizować wspólnotę, musi zawierać – przynajmniej w tym, co najważniejsze – jedną spójną wizję państwa. I faktycznie ją zawiera. Zarówno „promotorzy” (politycy), jak i „architekci” (eksperci konstytucyjni) Konstytucji RP z 1997 roku zgodnie podnoszą, że aksjologiczny pluralizm nie stanowi jej wady, lecz – przeciwnie – ogromną zaletę, ponieważ w różnobarwnej palecie zapisanych w niej systemów wartości wyraża się jedna nadrzędna wartość, która zasługuje na naszą bezwarunkową aprobatę. Tą wartością jest *duch kompromisu*. Mimo, iż słowo „kompromis” w samym tekście nie pojawia się ani razu, trudno zaprzeczyć, że duch kompromisu przenika Konstytucję III RP na wskroś.

Na czym jednak polega istota kompromisu, a w szczególności *tego* konstytucyjnego *kompromisu*? Jaka jest jego wartość i jego sens?

Analiza samego tekstu konstytucji może być wprawdzie interesującym zajęciem intelektualnym, ale z pewnością nie wystarcza do tego, by w pełni odślonić to, co się

w konstytucji kryje. Czym innym bowiem jest litera konstytucji, czym innym zaś jej duch. Uchwycenie i opisanie ducha konstytucji wymaga znacznie szerszego spojrzenia. Proces pisania i uchwalania ustawy zasadniczej jest przecież tylko pewnym etapem życia wspólnoty politycznej, która posiada konkretną tożsamość i konkretną historię. Żaden tekst konstytucji nie jest zrozumiały bez jego dziejowego, kulturowego i politycznego kontekstu.

Bywają sytuacje, kiedy ustawa zasadnicza wcale nie służy do opisania porządku obowiązującego w danym państwie, ale wręcz do ukrycia rzeczywistych mechanizmów, które nim rządzą. Warto pamiętać o takich przypadkach, jak konstytucja ZSSR z 1936 roku oraz jej późniejsze środkowoeuropejskie „klony”, w których zapisy konstytucyjne nie miały nic wspólnego z faktycznym kształtem porządku państwowego. Ten stan rzeczy celnie puentował dowcip z czasów PRL-u: „jej konstytucja była w znakomitym stanie, bo prawie nigdy nie używana”.

Oczywiście, znajomość kontekstu przydaje się także w sytuacjach bardziej normalnych. Na przykład tekst konstytucji Stanów Zjednoczonych nabiera pełniejszego znaczenia, gdy podczas jego lektury mamy świadomość, że kryją się w nim dwa – *nomen omen* – kompromisy: pierwszy, słusznie nazywany przez historyków wielkim, który pogodził sprzeczne na pozór żądania małych i wielkich liczebnie stanów, wprowadzając dwie odmienne ordynacje wyborcze do Izby Reprezentantów i do Senatu, oraz drugi, który należałoby nazwać „zgniłym” – zachowujący niewolnictwo i uznający Murzynów za trzy piąte człowieka. Ten ostatni kompromis tkwił przez prawie osiemdziesiąt lat jak ropiejący wrzód w organizmie Stanów Zjednoczonych, a próba jego usunięcia – ostatecznie udana – doprowadziła niemal do rozpadu państwa, do wojny domowej i hekatomby ofiar.

Jeśli więc chcemy odsłonić głębszy sens uchwalonej w Polsce konstytucji, nie powinniśmy analizować jej tak, jakby był to dokument powstały w wyniku akademickich debat ekspertów, którzy *sine ira et studio* opracowywali jej tekst, dbając o zachowanie najwyższych standardów współczesnego konstytucjonalizmu. W procesie jej tworzenia takie eksperckie debaty miały oczywiście również swoje miejsce i swoje znaczenie, ale nie one odegrały rolę decydującą. O wiele ważniejszy był cały kontekst jej powstawania. Proces ten dokonywał się w konkretnym momencie historycznym i w konkretnej wspólnocie: w Polsce końca XX wieku, w której wraz z ruchem Solidarności rozpoczął się rozkład komunistycznego imperium – najbardziej nieludzkiego i najbardziej zakłamanego systemu, jaki człowiek stworzył w dziejach. Chodziło o konstytucję dla państwa, które potrafiło wybić się na niepodległość i suwerenność, ale poprzez ludzkie losy oraz istniejące instytucje wciąż pozostawało powiązane tysiącami nici z niesuwerenną przeszłością.

Przypomnijmy najpierw pokrótce historię kształtowania się ustroju III Rzeczypospolitej, począwszy od roku 1989 po uchwalenie w 1997 roku jej konstytucji, aby następnie – na tym

tle – podjąć próbę opisanego ducha, który ten proces przenikał i odegrał w nim decydującą rolę.

Kontekst historyczny

Przemiany ustrojowe w Polsce po 1989 roku, poręcznie jest podzielić na cztery etapy wyznaczone kolejnymi kadencjami Parlamentu.

Pierwszy wstępny etap tych przemian rozpoczął się na początku 1989 r. wraz z obradami Okrągłego Stołu. Wówczas w Polsce obowiązywała „stalinowska” konstytucja z 1952 roku – obowiązywała oczywiście formalnie, ponieważ stanowiła ona jedynie pełną frazesów propagandową fasadę dla rzeczywistej i nieograniczonej władzy partii komunistycznej. Jednak w wyniku porozumienia opozycji z władzą w 1989 roku i zgody na ewolucyjny a nie rewolucyjny charakter zmian ustrojowych, zmiany te miały się dokonywać w ramach i zgodnie z procedurami określonymi przez tę właśnie „stalinowską” konstytucję. W ten sposób nabrała ona nieoczekiwane rzeczywistego znaczenia, stając się uznanym przez obie strony fundamentem tworzonego nowego porządku ustrojowego.

W wyniku ustaleń Okrągłego Stołu komunistyczny Sejm w kwietniu 1989 roku przyjął ustawy zmieniające konstytucję, które bardziej niż projektowanie nowego porządku miały na celu zagwarantowanie politycznych interesów obu układających się stron. Wprowadzono instytucję Prezydenta wybieranego przez Zgromadzenie Narodowe, (obdarzonego prawem weta ustawodawczego i mocą rozwiązywania Sejmu, gdy ten „uniemożliwi Prezydentowi wykonywanie jego konstytucyjnych obowiązków”) – w intencjach komunistów miał nim zostać gen. Jaruzelski; oraz jako rekompensatę dla strony solidarnościowej – demokratycznie wybierany Senat, pozbawiony zresztą istotniejszych kompetencji. Zarządzone zostały również „niekonfrontacyjne” wybory do Sejmu, gdzie tylko 1/3 obsadzona być miała w wyniku wolnych wyborów, zaś 2/3 przypadało partii komunistycznej i jej satelitom. Zgodnie z porozumieniem Okrągłego Stołu tak wybrany Parlament miał następnie przygotować nową konstytucję i nową, już w pełni demokratyczną ordynację wyborczą do Sejmu.

Drugi etap ustrojowych przemian w Polsce związany jest z działalnością owego „kontraktowego” Parlamentu, wybranego w czerwcu 1989 r.

W grudniu tegoż roku uchwalił on nowelizację konstytucji: przywrócono nazwę państwa „Rzeczpospolita Polska”, orzeł w herbie odzyskał koronę, zniknęły również ideologiczne sformułowania o sojuszu z ZSRR i przewodniej roli PZPR. Przede wszystkim jednak zmieniono art 1, który odąd głosił, że Polska jest „*demokratycznym państwem prawnym urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej*”. W oparciu o ten właśnie, uznany

za nadrzędny, pierwszy artykuł i pomijając pozostałe artykuły z wciąż obowiązującej konstytucji z 1952 r. Trybunał Konstytucyjny oraz Sąd Najwyższy swoimi orzeczeniami zaczęły niezwykle skutecznie współtworzyć porządek prawny nowego państwa.

Również w grudniu 1989 r. powstały dwie komisje konstytucyjne, których prace nie były skoordynowane ze sobą, a wręcz antagonistyczne. Wprawdzie, zgodnie z obowiązującą konstytucją, jej zmiany miał dokonać Sejm, a Senat pełnić jedynie rolę korygującą, to jednak natychmiast podniesiona została kwestia legitymacji kontraktowego przecież Sejmu do sprawowania roli Konstytuanty. Obie komisje do końca kadencji przygotowały jedynie projekty, różniące się zresztą zasadniczo.

We wrześniu 1990 r. Sejm znowelizował konstytucję, wprowadzając zasadę wyboru prezydenta w głosowaniu powszechnym. W grudniu tegoż roku został nim Lech Wałęsa.

Trzeci etap to działalność już w pełni demokratycznego Sejmu RP I kadencji wybranego w październiku 1991. Prace nad konstytucją nie były priorytetem tego Sejmu. Jego działalność sprowadzała się w dużej mierze – nie tylko zresztą w tej kwestii – do reagowania na inicjatywy Prezydenta Wałęsy, który dążył do wprowadzenie systemu prezydenckiego. Sejm ów uchwalił jednak dwa ważne akty prawne, przede wszystkim: „Ustawę konstytucyjną o wzajemnych stosunkach między władzą ustawodawczą i wykonawczą RP oraz o samorządzie terytorialnym”, czyli tzw. Małą Konstytucję, która weszła w życie w październiku 1992. Wprowadzony przez nią rozdział kompetencji między Prezydenta i Rząd okazał się wszakże na tyle nieprecyzyjny, że otworzył drogę do nieustannych między nimi konfliktów.

W perspektywie ostatecznego uchwalenia konstytucji najistotniejsze było przyjęcie w kwietniu 1992 r. „Ustawy Konstytucyjnej o trybie przygotowywania i uchwalenia Konstytucji”, zgodnie z którą:

- powołano Komisję Konstytucyjną Zgromadzenia Narodowego, która miała opracować stosowny jednolity projekt;
- przyjęcia projektu miało dokonać Zgromadzenie Narodowe większością 2/3 głosów;
- przyjęty projekt miał być następnie zatwierdzony w referendum zwykłą większością głosów.

Sprawujące wówczas rządy ugrupowania solidarnościowe nie odczuwały już takiej potrzeby pośpiechu, jaką w poprzednim okresie rozbudzała w nich – płonna, jak się szybko okazało – nadzieja na przyjęcie nowej ustawy zasadniczej w okrągłą rocznicę Konstytucji 3 maja. Komisja Konstytucyjna powstała więc dopiero pół roku po wejściu w życie ustawy, tj. 30 października 1992 r. Następnie minęło kolejne 6 miesięcy, przeznaczonych – zgodnie

z ustawą – na zgłaszanie projektów konstytucji przez uprawnione do tego podmioty. Do 30 kwietnia 1993 roku wpłynęło 7 projektów. Jednak już miesiąc później wszelkie prace w Komisji zamarły, ponieważ Sejm przegłosował votum nieufności dla rządu, a Prezydent Wałęsa rozpiął nowe wybory. Konstytucja jako łup miała wpaść w ręce ich zwycięzców.

Etap czwarty, który zakończył się uchwaleniem nowej konstytucji, to okres urzędowania Parlamentu wybranego we wrześniu 1993 r. Został on zdominowany przez ugrupowania postkomunistyczne. Oddano na nie prawie 36% głosów (SLD – 20,4%, PSL – 15,4%) co w wyniku nowej, premiującej silne partie ordynacji wyborczej przełożyło się na niemal 66% (SLD – 37,2%, PSL – 28,7) mandatów. Ze względu na rozdrobnienie pozostałych ugrupowań 1/3 ważnie oddanych głosów nie znalazło swojej reprezentacji w Sejmie!

Sejm wybrany w 1993 roku w swej strukturze przypominał niemal dokładnie Sejm „kontraktowy” z roku 1989. I w jednym i w drugim 2/3 miejsc zajmowali ludzie związani tak czy owak z PRL-owskim establishmentem. Różnica polegała na tym, że tym razem dokonano się to w pełni demokratycznych wyborach. Co więcej, proporcje mandatów w Senacie były dla ugrupowań solidarnościowych jeszcze gorsze (dla SLD i PSL – 75%). Oznaczało to, że w nowym Zgromadzeniu Narodowym uda się bez większego trudu zmobilizować wymaganą większość 2/3 niezbędną dla przyjęcia konstytucji, tym bardziej, że można było liczyć również na konstruktywną postawę dwóch partii wywodzących się z solidarnościowej opozycji: Unii Wolności i Unii Pracy. Istotnym problemem pozostawał jedynie wynik referendum.

Szef Sojuszu Lewicy Demokratycznej Aleksander Kwaśniewski otwierającej się szansy nie zmarnował. Uznając uchwalenie konstytucji za absolutny priorytet sam stanął na czele nowej Komisji Konstytucyjnej i przez dwa lata nadawał jej pracom odpowiednie tempo, by następnie, już jako Prezydent RP, doprowadzić swoje dzieło do końca.

Jednolity projekt został zaakceptowany przez Komisję Konstytucyjną w styczniu 1997 roku. Zgromadzenie Narodowe przyjęło ostatecznie Konstytucję RP 2 kwietnia, głosowało za nią 451 za tj. ponad 90% (przeciw było 40 tj. 8%, wstrzymało się 6 – wymagana większość 2/3 wynosiła 332 głosy).

25 maja odbyło się referendum konstytucyjne, w którym wzięło udział 42,86% uprawnionych do głosowania. Za przyjęciem Konstytucji głosowało 52,71%, przeciw 45,89%.

Po podpisaniu przez Prezydenta Konstytucja weszła w życie 17 października 1997 roku.

Jak widać z powyższej „powtórki z historii”, nie jest łatwo jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, kiedy powstała III Rzeczpospolita. Ci, co chcieliby uroczystie świętować jej urodziny, mają poważny kłopoty ze wskazaniem jednego, przełomowego momentu, w którym nastąpiło definitywne zerwanie z poprzednim ustrojem. Czy można się więc dziwić tym, którzy twierdzą, że takiego momentu w ogóle jeszcze nie było, że Polska wciąż niesie na sobie – zarówno w sensie ciągłości prawnej, jak i w wymiarze mentalnym – istotne ślady PRL-owskiego dziedzictwa? Tym bardziej, że gdyby poszukać kluczowego wydarzenia, które w największym stopniu wyznaczyło i do dziś wyznacza filozofię naszego państwa, to musielibyśmy wymienić coś, co należy jeszcze do „poprzedniej epoki”. Zasadnicze zręby ustroju III RP określone zostały w czasie negocjacji symbolicznie kojarzonych z Okrągłym Stołem, zaś późniejsze akty prawne wprowadzały do niego tylko kolejne korektury i poprawki. Ustrój ten znalazł swoje ostateczne zwieńczenie i utrwalenie w Konstytucji z 1997 roku, którą z tego względu jej przeciwnicy nazywali nie bez racji Konstytucją Okrągłego Stołu, albo jeszcze dosadniej: Konstytucją „grubej kreski”.

Porozumienia Okrągłego Stołu miały jednak nie tylko swoje polityczne i instytucjonalne konsekwencje. W sposób decydujący ukształtowały również „ducha” III Rzeczpospolitej – etyczną przestrzeń, w której miało toczyć się życie naszej wspólnoty. Istotą tych porozumień – wówczas oczywistą dla wszystkich, choć w publicznych wystąpieniach skrętnie pomijaną – była głęboka niewspółmierność obu układających się stron; niewspółmierność zarówno co do posiadanych sił, jak i, przede wszystkim, co do zamierzonych celów. Oficjalne wypowiedzi o wspólnej trosce o dobro Polski skrywały całkiem odmienne motywacje.

Ekipa rządząca w końcu lat 80-tych PRL-em już od dawna nie miała złudzeń, co do wyższości demokracji i gospodarki rynkowej nad systemem komunistycznym. Była również świadoma, że system ten osiąga właśnie swój kres. Przystępując do rozmów z solidarnościową opozycją chciała tak pokierować transformacją ustrojową, by dokonało się to dla niej możliwie bezboleśnie i by mogła zapewnić sobie jak najlepszą pozycję startową w nowo kształtującym się porządku. Nie miała przy tym żadnych oporów z akceptacją zasady, że o tym, kto sprawuje władzę powinny decydować *demokratyczne wybory*. Negocjując z „pozycji siły” i dbając o własne interesy, nie omieszkła wszakże zatroszczyć się o czasowe odsunięcie tych wyborów, podsuwając w ich miejsce pomysł „Sejmu kontraktowego”.

Komunistyczna władza stała jednak przed problemem o wiele poważniejszym. Otóż, rysujący się w bliskiej już perspektywie nowy ustrój – **demokratyczne państwo prawa**, miał się opierać nie tylko na demokratycznych procedurach wyborczych, ale na jeszcze jednej fundamentalnej zasadzie, której nie sposób było otwarcie odrzucić. *Podstawową zasadą i wartością państwa prawa jest bowiem sprawiedliwość*. Uwzględnienie wymogów

sprawiedliwości i oddanie tego, co się słusznie należy funkcjonariuszom systemu, który nie dość, że był zbrodniczy, to jeszcze realizował interesy obcego mocarstwa, musiało dla rządców PRL-u oznaczać katastrofę – odpowiedzialność karną dla sprawców przestępstw, dla pozostałych przynajmniej publiczną infamię. Toteż ich akceptacja państwa prawa mogła być jedynie werbalna, ograniczona i wybiórcza. Wprawdzie później chętnie korzystali z jego instrumentów, gdy leżało to w ich interesie, ale jednocześnie bardzo dbali o to, by działalność powstających instytucji państwa prawa nie pociągnęła za sobą dotkliwych dla nich konsekwencji.

Propozycja negocjacji, którą władza złożyła opozycji, okazała się politycznym majstersztykiem. Nie tylko zapobiegła rewolucji – co, jak pokazał późniejszy przebieg wypadków w sąsiednich państwach, było całkiem realnym scenariuszem – ale ponadto stanowiła pierwszy krok do moralnej i politycznej legitymizacji ludzi starego systemu. Władza wyciągając rękę do przedstawicieli społeczeństwa zdawała się wykazywać cechy w dotychczasowym systemie niewyobrażalne – dobrą wolę i troskę o dobro Polski. Strona solidarnościowa z kolei, przystępując do rozmów, przyjmowała tę propozycję, chcąc nie chcąc, za dobrą monetę i zgadzała się tym samym publicznie uznać swoich dotychczasowych przeciwników za godnych siebie, tzn. pełnych dobrej woli partnerów. Z tego względu kwestia odpowiedzialności władzy za zbrodniczą przeszłość została przez opozycję w czasie negocjacji po prostu wzięta w nawias i przemilczana. *Milcząca zasada przemilczania przeszłości* nie była żadnym wynegocjowanym ustaleniem rodem z Okrągłego Stołu czy z Magdalenki, ale koniecznym warunkiem, aby negocjacje polityczne mogły w ogóle dojść do skutku. Strona solidarnościowa, co rozumiała, gotowa była jej przestrzegać także później, dopóki istniała realna siła, która na próbę sprawiedliwego rozliczenia przeszłości odpowiedzieć mogła przemocą. To, dlaczego czuła się nadal nią zobowiązana nie tylko po samorozwiązaniu PZPR, nie tylko po usunięciu komunistycznych ministrów MON i MSW w lipcu 1990 r., ale nawet po rozpadzie ZSSR w lipcu 1991 r., jest już o wiele mniej oczywiste. W ewidentny sposób musiały działać tu dodatkowe czynniki.

Niezbędnym warunkiem przestrzegania zasady przemilczania przeszłości było zabezpieczenie się przez postkomunistów przed tym, by przeszłość sama nie zaczęła przemawiać. Okres przejściowy, lata 1989-1990 to dla komunistycznego aparatu przede wszystkim czas niszczenia dokumentów świadczących jednoznacznie o istocie PRL-u i przestępczych działaniach jej funkcjonariuszy. Milcząca zgoda na ten proceder, to największe zaniedbanie ludzi Solidarności. W rezultacie tego procederu, który sam miał charakter przestępczy i stanowił gwałt na istocie państwa prawa, pierwsze nieśmiałe próby ścigania dawnych przestępstw i zbrodni, mogły być skutecznie blokowane w powołaniu się na państwo prawa i jedną z jego zasad – zasadę domniemania niewinności. Sprawnemu usuwaniu przez dawnych komunistów materialnych dowodów niechlubnej przeszłości, towarzyszyło jednocześnie pozytywne budowanie ich nowego image'u. Zgoda na powołanie

rządu z niekomunistycznym premierem na czele w sierpniu 1989 r., sugerowała, że są zdolni dotrzymywać porozumień, nawet wtedy, gdy nie wszystko toczy się po ich myśli. Odtąd jako ci, dla których *pacta sunt servanda*, mogli już być przedstawiani jako „ludzie honoru”.

Kolejny akt transformacji środowiska PRL-owskiego establishmentu w pełnoprawnych obywateli III RP miał miejsce 30 stycznia 1990 roku, kiedy komuniści nagle zniknęli a w ich miejsce pojawili się socjaldemokraci. Transformacja ta nie była zresztą zbyt trudna, zważywszy na kompletną bezideowość całego towarzystwa, dla którego liczyła się przede wszystkim władza oraz związane z nią profity, zaś elementy komunistycznej liturgii od dawna stanowiły już tylko pustą fasadę.

Trzeba zresztą przyznać, że dawni komuniści, odkąd wyprowadzili sztandar PZPR i wraz z nim symbolicznie pogrzebali swoją przeszłość, stali się naprawdę oddanymi demokratami. Ich późniejsza zgoda na konstytucyjny zakaz działalności partii odwołujących się do totalitarnych metod i praktyk, w tym partii komunistycznej, była z pewnością jak najbardziej szczerą. Nowa rzeczywistość stwarzała dla nich nowe, o wiele bardziej atrakcyjne niż dostępne w praśnych czasach PRL-u możliwości i szanse działania, zaś nabyte w poprzednim systemie doświadczenia i wciąż istniejące formalne i nieformalne powiązania dawały w punkcie wyjścia istotną przewagę. Wciąż jednak tliła się niepewność, czy kompromis Okrągłego Stołu, ustalający wspólne zasady politycznej rywalizacji oraz legitymizujący obie układające się strony jako równorzędnych uczestników demokratycznej gry, nie zostanie nagle – w imię sprawiedliwości – zakwestionowany. Widomym znakiem obaw żywionych przez środowisko świeżo upieczonych socjaldemokratów była ich początkowa powściągliwość i słuszne skądinąd przekonanie, że w życiu politycznym „mniej im wolno”. Ta ich powściągliwość w połączeniu z postępującą dekompozycją obozu solidarności, którego wewnętrzne podziały i publicznie rozgrywane konflikty, zdawały się pokazywać, że jego przedstawiciele wcale nie są moralnie lepsi od komunistów, była, być może, najważniejszym źródłem triumfu SLD w wyborach 1993 r.

Strona solidarnościowa przystępowała do rozmów przy Okrągłym Stole z pełną świadomością, że negocjuje z „pistoletem przyłożonym do głowy”. Uznała wtedy, że – właśnie dla dobra Polski – musi iść nie tylko na polityczny, ale i na moralny kompromis i przez pewien czas nie wszystkie zło poprzedniej epoki nazywać po imieniu. Moralne kompromisy mają jednak swoje konsekwencje, ponieważ wszelkie ustalenia – w tym także te nie do końca wyartykułowane – z samej swej natury nabierają cech stałości. Gdyby elity solidarnościowe potrafiły – choćby nawet tylko we własnym gronie – precyzyjnie określić istotę zawieranego wówczas kompromisu, dzisiejsza Polska wyglądałaby zapewne inaczej. Sens jedyne dopuszczalnego kompromisu, tzn. takiego, który dawał się moralnie usprawiedliwić, należało wyrazić mniej więcej tak: *Zgadzamy się wprowadzić rozmawiać pod przymusem i z tego względu czasowo ograniczyć żądania sprawiedliwego rozliczenia przeszłości, ale*

tylko po to, aby uczynić pierwszy krok w kierunku budowy sprawiedliwego państwa. To sprawiedliwe państwo a nie owe wymuszone ograniczenie jest dla nas najważniejszą wartością i naszym celem. Kiedy już zostanie zbudowane, jego zasada – zasada sprawiedliwości będzie obowiązywała bezwzględnie. Dlatego ci, z którymi zawieramy kompromis, nie mogą liczyć na amnezję i bezkarność, ale nie muszą się też obawiać niczyjej zemsty. Sprawiedliwe państwo gwarantuje każdemu bez wyjątku sprawiedliwe osądzenie jego czynów: sprawiedliwy wymiar kary, sprawiedliwe uniewinnienie, a także – jeśli będą po temu słuszne racje – sprawiedliwe przyznane zaszczyty.

Wkrótce okazało się, że to wcale nie jasna świadomość strategicznego celu – budowy sprawiedliwego państwa, zdominowała sposób myślenia solidarnościowej opozycji. Pierwszeństwo zdobyła logika demokratycznej rywalizacji o władzę i związane z tym taktyczne kalkulacje polityczne. Od czasu kontraktowych wyborów w czerwcu 1989 r., aż po jesień 1993 r. panowało niemal powszechne przekonanie, że przewyciężenie komunistycznego dziedzictwa dokona się o wiele szybciej i skuteczniej za pomocą kartki wyborczej niż za pomocą wymiaru sprawiedliwości. Znaczyło to, że kształtujące się państwo ma być przede wszystkim demokracją, a dopiero na drugim miejscu państwem prawa.

Dodatkowym czynnikiem, który wywarł istotny wpływ na duchowy klimat państwa było zaangażowanie się części solidarnościowych elit w moralne legitymizowanie byłych komunistów. Niektórzy, jak się zdaje, czynili to powodowani jednostronnie rozumianym chrześcijańskim miłosierdziem; inni – w przekonaniu, że demokratycznie zdobyty mandat ostatecznie legitymizuje, gładząc wszystkie winy. Te mniej lub bardziej subtelne wywody, z których tak czy owak miało wynikać, jakoby jedynym moralnie słusznym fundamentem kształtującego się porządku musiało być zapomnienie o przeszłości, stopniowo dewastowały etyczną świadomość Polaków. Początkowo jednak przekonanie, że kompromis zawarty w 1989 roku nie może być podstawą zdrowego państwa, uznawane było za oczywistość nawet wśród tych, którzy później wsparli konstytucyjną koalicję. Na inauguracyjnym posiedzeniu Komisji Konstytucyjnej „kontraktowego” jeszcze Sejmu, 6 lutego 1990 roku, jej przewodniczący Bronisław Geremek, przypominając, że posiedzenie to odbywa się w rocznicę rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu, stwierdził: „Z tej rocznicy pozostaje nam filozofia zmian, które spowodowały zasadnicze, ale ewolucyjne przemiany prowadzące do wolności i demokracji. Obrady Okrągłego Stołu toczyły się w duchu kompromisu. Kompromis ten musi jednak zatrzymać się na pewnych rubieżach, które wyznaczają podstawowe wartości narodu. Problematyki konstytucji kompromisowi poddawać nie można. Kompromisy w ustawie zasadniczej nie wchodzą w grę”.

Przełom roku 1993

Fakt, że na byłych komunistów zagłosowało raptem 20 % wyborców nie miałby sam w sobie aż tak wielkiego znaczenia, gdyby nie to, że wydarzyło się to w szczególnej sytuacji,

przygotowanej przez poprzednio rządzące koalicje ugrupowań solidarnościowych. Ordynacja wyborcza – wprowadzona w intencji wzmocnienia rządu i promująca silne partie – zapewniła SLD ponad 37% mandatów, a wraz z sojusznikiem PSL-em 2/3 miejsc w Sejmie, co wraz z ustaleniami zawartymi we wcześniej przyjętej „Ustawie Konstytucyjnej o trybie przygotowywania i uchwalenia Konstytucji” stwarzało postkomunistom komfortowe warunki do tego, by to oni właśnie uchwalili ustawę zasadniczą. Jednak decyzja skorzystania przez nich z tej możliwości, wcale nie była oczywista – oznaczała bowiem kres ich dotychczasowej powściągliwości w polityce. Ci, którzy wiedzieli, iż „mniej im wolno”, musieli tym bardziej wiedzieć, że podjęcie działań, które miały im zapewnić chwałę „ojców założycieli” III Rzeczypospolitej, przez znaczną część społeczeństwa odebrane zostanie jako prowokacja.

Przywódca postkomunistów Aleksander Kwaśniewski podjął to ryzyko, ponieważ doskonale rozumiał, że otwiera się przed nim niepowtarzalna szansa ostatecznego utrwalenia i zalegalizowania porządku zaprojektowanego przy Okrągłym Stole, to znaczy, przede wszystkim, ostatecznego zamknięcia kwestii komunistycznej przeszłości i związanych z tym rozliczeń. Niezależnie od merytorycznej oceny przeforsowanego projektu państwa, sam sposób wprowadzenia go w życie – zwłaszcza na tle wcześniejszej konstytucyjnej indolencji środowisk solidarnościowych – zasługuje na wyrazy najwyższego uznania. Gdyby za probierz klasy polityka przyjąć wyłącznie skuteczność, to Aleksander Kwaśniewski z pewnością zasługiwałby na miano męża stanu. To on okazał się faktycznie ojcem Konstytucji z 1997 roku, a tym samym „ojcem założycielem” i symbolem państwa, w którym dziś żyjemy.

Duch konstytucyjnej debaty.

Prace nad konstytucją, które przyspieszyły gwałtownie zaraz po wyborach we wrześniu 1993 roku, rozpoczęły nasilającą się debatę. Debatę ta, której szczyt przypadł na lata 1996 i 1997, toczyła się na różnych poziomach i różne cele przyświecały jej aktorom. Spróbujmy je pokrótce określić, tym bardziej, że owe cele były częściowo ukryte a cała debata głęboko i wielostronnie zafałszowana.

Dla głównego rozgrywającego, Aleksandra Kwaśniewskiego i jego środowiska, konkretna treść przygotowywanej konstytucji jawiła się w gruncie rzeczy jako mało istotna i drugorzędna. Przy generalnej zgodzie na ogólną formułę „demokratycznego państwa prawa”, szczegółowe wypełnienie tych ram można było spokojnie powierzyć ekspertom, dbając co najwyżej o to, by któremuś z nich nie przyszło do głowy zbytnie wyakcentowanie roli instytucji państwa prawa.

Cel postkomunistów był prosty. Cała gra toczyła się o to, aby to ten właśnie Parlament, a po 1995 roku również ten właśnie Prezydent, chodzili w glorii założycieli III Rzeczypospolitej. I nie o samą chwałę tu szło, lecz o oczywisty fakt, że w ten sposób niebezpieczeństwo

pociągnięcia do odpowiedzialności byłych komunistów za niechlubną przeszłość zostanie, być może, ostatecznie oddalone. Jeśli zwykła legitymacja wyborcza dawała już w tej kwestii niezłą ochronę, to pomysł by „ojców założycieli” poddać infamii graniczyłby przecież z absurdem. Owego celu postkomuniści nie mogli, rzecz jasna, formułować wprost, choć także specjalnie go nie ukrywali. Nie trzeba przecież wielkiej przenikliwości, by go odnaleźć w sloganie wyborczym: „Wybermy przyszłość”.

Aleksander Kwaśniewski miał jednak ambicje jeszcze większe, gdy na pierwszym posiedzeniu Komisji Konstytucyjnej formułował sens całego przedsięwzięcia: *„Doświadczenia konstytucjonalizmu europejskiego wyraźnie pokazują, że właśnie poprzez kompromis pomiędzy różnymi interesami społecznymi i oczekiwaniami obywatelskim budowano skuteczne ustawy zasadnicze w krajach rozwiniętej, czy tworzącej się demokracji. Byłoby więc dobrze, abyśmy poszli tą drogą i abyśmy potrafili stworzyć właśnie konstytucję obywatelskiego kompromisu – powtarzam: konstytucję obywatelskiego kompromisu”*. Oprócz skutecznego uchwalenia ustawy zasadniczej usiłował, jak się wydaje, stworzyć podwaliny czegoś, co należałoby nazwać jakąś formą „religii obywatelskiej” – swoistą „religię kompromisu”, która miała ostatecznie pojednać wszystkich obywateli, dostarczając etycznego usprawiedliwienia i podstawy dla przyszłej wykładni ustanawianej właśnie konstytucji.

Deklarowany duch kompromisu wywarł oczywiście również ogromny wpływ na techniczną stronę przygotowywania tekstu konstytucji. Od początku pracy Komisji było jasne, że konstytucja nie będzie tworzona drogą merytorycznych dyskusji bezkompromisowo poszukujących najlepszych rozwiązań, lecz ma powstać w wyniku gry interesów: targów, nacisków i ustępstw. W grze tej najsilniejszy gracz deklarował daleko idącą gotowość kompromisu, tzn. był gotów zgodzić się na wiele, byle tylko osiągnąć swój cel – uchwalić konstytucję w tej właśnie kadencji. Poszczególne zapisy ustawy zasadniczej miały swoją wagę, a raczej, mówiąc precyzyjniej, swoją cenę, za którą SLD usiłowało kupić poparcie kolejnych środowisk. Korzystały z tego partie tworzące konstytucyjną koalicję, walczące do końca o umieszczenia w projekcie artykułów, które bezpośrednio odwoływały się do ich elektoratów. W ten sposób publicznie gloryfikowana filozofia kompromisu okazała się bezpośrednią przyczyną tego, że konstytucja, a zwłaszcza jej rozdziały pierwszy i drugi, przybrały – najdelikatniej rzecz ujmując – eklektyczny kształt.

Najwyższą ceną, jaką postkomuniści zmuszeni byli ostatecznie zapłacić, było uwzględnienie kwestii, które miały zachęcić do głosowania za przyjęciem konstytucji liczny elektorat kierujący się wskazaniem Kościoła katolickiego, bowiem w przypadku jednoznacznie negatywnego stanowiska Kościoła referendum konstytucyjne miałoby minimalne szanse na sukces. Dzięki temu w konstytucji znalazły się zapisy akcentujące godność człowieka, chroniące rodzinę i małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, wprowadzające kategorie

dobra wspólnego oraz regulujące stosunki między państwem a wspólnotami religijnymi zgodnie z Nauką Społeczną Kościoła. Na koniec zgodzono się przyjąć preambułę w wersji przedstawionej przez Tadeusza Mazowieckiego, która uwzględniając jakąś formę *invocatio Dei* i odwołując się również do tradycji narodowej, spacyfikowała po części zastrzeżenia wobec konstytucji zgłaszane przez Kościół katolicki.

Aby zrozumieć zróżnicowany stosunek środowisk solidarnościowych do konstytucji promowanej przez SLD, warto sobie uświadomić, że poczynawszy od jesieni 1993 r. mieliśmy do czynienia z sytuacją analogiczną do tej, jaka doprowadziła do kompromisu Okrągłego Stołu. Strona dysponująca władzą i przemożną siłą – tym razem była to siła przytłaczającej większości mandatów w parlamencie – a jednocześnie świadoma braku pełnej społecznej legitymacji, składała środowiskom solidarnościowym ofertę „nie do odrzucenia”: albo zaakceptujecie zasadę proponowanego przez nas kompromisu i wtedy, uzyskując wpływ na ustrojowy kształt państwa, będziecie mogli cieszyć się wraz z nami sławą jego „założycieli”, albo zostaniecie zignorowani, a my i tak zrobimy swoje. To „albo – albo” w dramatyczny sposób określało horyzont możliwych posunięć, jaki wówczas stanął otworem przed opozycją solidarnościową. Decyzja o przyjęciu pierwszej lub drugiej opcji radykalnie ją podzieliła, choć, jak można sądzić, w kwestii stosunku do byłych komunistów ujawniła się tylko wyraźnie istniejąca już wcześniej fundamentalna różnica.

Jak wiadomo, część ugrupowań solidarnościowych związanych głównie z Unią Wolności, przyjęła złożoną propozycję, stając się odtąd dla postkomunistów nie tylko cennym listkiem figowym, ale również pożytecznym towarzyszem podróży w drodze do Polski, w której liczyć się miała tylko przyszłość. Dzięki temu, że w debacie publicznej rolę obrońców konstytucji wzięli na siebie głównie publicyści związani z Unią Wolności, postkomuniści mogli skromnie skryć się w cieniu, i po prostu robić swoje.

Motywację, jaka kryła się za decyzją przystąpienia do konstytucyjnej koalicji, dobrze oddają słowa Tadeusza Mazowieckiego, wypowiedziane 10 lat po przyjęciu konstytucji: „Stał przed nami pewien niełatwy problem. Konstytucję uchwalił ówczesny parlament, (w którym najwięcej głosów posiadał SLD). Dlatego trzeba się było bardzo mocno przełamywać, ponieważ nie było nic dziwnego w tym, że ugrupowania wywodzące się z „Solidarności”, a więc z ruchu, który doprowadził do przełomu, chciały być twórcami konstytucji. Ale przewlekanie tego stanu bezkonstytucyjności byłoby szkodliwe. I to przełamywanie się, które było konieczne, było wyrazem nadrzędności dobra wspólnego nad interesami już nie tylko partii, ale własnej formacji”. To „przełamywanie się”, które tutaj prezentowane jest jako przewycięzanie – w imię dobra wspólnego – nie tylko partyjnego egoizmu, ale i interesu własnej formacji, może być jednak rozumiane inaczej niż chciałby autor powyższych słów. Dla kogoś, kto pamięta, że naczelnym interesem tej „własnej formacji”, tzn. ruchu Solidarności, nie był żaden partykularny interes, lecz właśnie bezkompromisowe

pierwszeństwo zasady dobra wspólnego, w tym – poszanowanie wymogów sprawiedliwości, decyzja Unii Wolności oznaczała raczej zgodę na porzucenie idei dobra wspólnego i podjęcie gry motywowanej przemożną potrzebą obecności w polityce oraz posiadania na nią realnego wpływu. Zgodę, o której wątpliwym moralnie charakterze świadczą właśnie wewnętrzne opory sumienia i rozumu, które trzeba było „bardzo mocno przełamywać”.

Owemu przełamywaniu służył m.in. przytoczony argument o szkodliwości przeciągającego się stanu nie posiadania przez Polskę konstytucji – jeden z najbardziej upowszechnianych wówczas mitów mających uzasadnić konieczność uchwalenia konstytucji w tym właśnie momencie. Nie trzeba dodawać, że z punktu widzenia SLD argument ten był wyjątkowo atrakcyjny, ponieważ umiejętnie usuwał z pola dyskusji istotę sporu. Ogólnie formułowana potrzeba posiadania konstytucji jako takiej, skrywała prosty fakt, że argument ten, użyty tu i teraz, agitował za przyjęciem forsowanej przez postkomunistów konstytucji, nie mówiąc tego wprost.

Drugi nurt o solidarnościowych korzeniach skupiony wokół Akcji Wyborczej „Solidarność” jednoznacznie opowiedział się za odrzuceniem jakiegokolwiek kompromisu z SLD i konsekwentnie stosował politykę obstrukcji w złudnej nadziei na opóźnienie, a w rezultacie zablokowanie procesu stanowienia konstytucji. To stanowisko, doskonale widoczne w podejmowanych działaniach, nie zostało jednak otwarcie wyartykułowane. O ile postkomuniści nie chcieli nazwać istoty sporu po imieniu, bo w sposób oczywisty nie leżało to w ich interesie, to politycy AWS sprawiali wrażenie jakby tego nie potrafili, albo się tego bali – intelektualna bezradność wobec demokratycznej legitymacji, jaką posiadała SLD, okazała się porażająca. Tym samym debata konstytucyjna toczyła się, i to po obu stronach, w sposób pozorny i zafałszowany. Można było odnieść wrażenie, że stary system wszechobecnego kłamstwa nie zniknął doszczętnie, lecz dalej rzuca cień na nową rzeczywistość.

Głównym orężem polityków AWS miał być ich własny, obywatelski projekt konstytucji, który pod względem treści – dotyczy to zwłaszcza dwóch jego pierwszych rozdziałów zawierających zasady naczelne oraz katalog prawa podstawowych – zdecydowanie górował nad końcowym efektem prac Komisji Konstytucyjnej. Oceny tej nie zmienia fakt, że – w formie, w jakiej zaprezentowano go publicznie – był już poważnie popsuty pomysłem komisji trójstronnej oraz rozbudowanym pakietem przywilejów pracowniczych (obecnych zresztą również w projekcie Komisji). Artykuły te, rozbijając logiczną spójność tego projektu, stanowiły ewidentnie sztuczny i wręcz niebezpieczny dla funkcjonowania państwa dodatek, który jednak, jak można się domyślać, miał na celu wskazywać wyrazistą odrębność zarówno samego projektu, jak i jego promotorów. Ta troska o zaznaczenie swojej tożsamości była zresztą o tyle uzasadniona, że duch kompromisu, któremu AWS usiłowała się przeciwstawić,

był gotów wchłonąć i przyswoić sobie – i to niezależnie od jego źródła – każdy, nawet najbardziej absurdalny pomysł konstytucyjny, byle tylko zyskać nowych zwolenników i przybliżyć się do końcowego sukcesu.

Głównym orężem polityków AWS miał być ich własny, obywatelski projekt konstytucji, który pod względem treści – dotyczy to zwłaszcza dwóch jego pierwszych rozdziałów zawierających zasady naczelne oraz katalog prawa podstawowych – zdecydowanie górował nad końcowym efektem prac Komisji Konstytucyjnej. Ocenę tej nie zmienia fakt, że – w formie, w jakiej zaprezentowano go publicznie – był już poważnie popsuty pomysłem komisji trójstronnej oraz rozbudowanym pakietem przywilejów pracowniczych (obecnych zresztą również w projekcie Komisji). Artykuły te, rozbijając logiczną spójność tego projektu, stanowiły ewidentnie sztuczny i wręcz niebezpieczny dla funkcjonowania państwa dodatek, który jednak, jak można się domyślać, miał na celu wskazywać wyrazistą odrębność zarówno samego projektu, jak i jego promotorów. Ta troska o zaznaczenie swojej tożsamości była zresztą o tyle uzasadniona, że duch kompromisu, któremu AWS usiłowała się przeciwstawić, był gotów wchłonąć i przyswoić sobie – i to niezależnie od jego źródła – każdy, nawet najbardziej absurdalny pomysł konstytucyjny, byle tylko zyskać nowych zwolenników i przybliżyć się do końcowego sukcesu.

Jednak to nie walka o przeforsowanie własnego projektu, lecz torpedowanie projektu przeciwnika stanowiło główny cel konstytucyjnej opozycji. Politycy AWS, podobnie jak postkomuniści, doskonale wiedzieli, że o losie konstytucji rozstrzygnie ostatecznie referendum, tu zaś decydujące okaże się oficjalne stanowisko Kościoła. Stąd wiele ich publicznych wystąpień zmierzało do przekonania hierarchii, że treść przygotowanego przez Komisję Konstytucyjną projektu stanowi zagrożenie dla ludzi wierzących i dla Polskiego Narodu. Bogoojczyźniana retoryka, która czasem przekraczała wszelką miarę, przyjmując formę moralnego i religijnego szantażu, okazała się przeciwnie skuteczna. Z jednej strony, wrażliwych na wszelkie formy politycznego wykorzystywania wiary biskupów skłaniała raczej do powściągliwości, z drugiej – ośmieszała tych, którzy się ową retoryką posługiwali i którzy przy okazji stawali się łatwym celem szyderczej krytyki mediów. Przede wszystkim jednak owa retoryka pomagała tym, przeciwko którym była skierowana w mistyfikowaniu sensu toczącej się rozgrywki. Najważniejszym przecież zagrożeniem – zarówno dla ludzi wierzących, jak i dla wszystkich ludzi dobrej woli – wcale nie była treść poszczególnych artykułów uchwalanej konstytucji, lecz kompromis, który legł u jej podstaw i duch, który ją od początku przenikał.

Zasadnicza oś konfliktu, którą wyznaczali, z jednej strony, postkomuniści jako polityczni promotorzy konstytucji, zaś z drugiej, jej radykalni przeciwnicy skupieni wokół AWS, nie stwarzała wielkich możliwości merytorycznej dyskusji nad jej treścią. Mimo to dyskusja taka miała miejsce. Brali w niej udział prawnicy, którzy w takich, a nie innych okolicznościach

przyjęli od legalnie wybranego Zgromadzenia Narodowego zlecenie zredagowania konstytucji i, jak przystało na fachowców, starali się dobrze wykonać powierzone sobie zadanie. Wokół prac Komisji Konstytucyjnej toczyła się nieustanna debata, w czasie której eksperci konstytucyjni, stosownie do swojej wiedzy i rozumienia problemów, starali się przygotować jak najlepszy projekt nowoczesnie rozumianego państwa, starannie szlifując kształt poszczególnych artykułów. Udało im się przy tym zrobić wiele dobrego, choć warunki brzegowe wyznaczone filozofią kompromisu nie ułatwiały im tego zadania. Gdyby nie ich wkład, treść obowiązującej dziś Konstytucji z pewnością zasługiwałaby na jeszcze większą krytykę.

Natomiast polemiki prowadzone w mediach tylko pozornie stanowiły przedłużenie merytorycznej debaty nad tekstem, która toczyła się w Komisji Konstytucyjnej. Miały one zupełnie inny cel i inny charakter, bo dotyczyły istoty konfliktu: tego, czy konstytucję jako całość należy w zbliżającym się referendum przyjąć czy odrzucić. W przekonywaniu opinii publicznej brali zresztą udział również eksperci zaangażowani w prace Komisji, którzy jednak w ten sposób wykraczali poza swoją właściwą rolę. Występując z pozycji profesorów prawa i rzucając na szalę swoją profesjonalną wiarygodność, zajmowali stanowisko w sporze, który nie podlegał ich kompetencji, bo nie chodziło w nim o ocenę sensowności takich lub innych regulacji konstytucyjnych, lecz o rozstrzygnięcie bardziej podstawowe, mające charakter moralny. Przywoływanie ich opinii i wspieranie się ich autorytetem było z kolei typowym zachowaniem wielu publicystów, którzy również zaangażowali się we wspieranie konstytucji, odwołując się przy tym często do pozornych argumentów i mitów.

Medialna debata przebiegała zazwyczaj wedle jednego schematu. Po rozważeniu kilku konkretnych artykułów promowanej konstytucji i oddaleniu kierowanych przeciwko nim zarzutów (często przytaczanych za autorami, którzy wyrażali je w historycznej formie bądź w bogoojczyźnianym języku), następowała nieodmiennie konkluzja: „Konstytucja nie jest może dokumentem idealnym (nic niej jest przecież idealne) i na pewno ma swoje wady, ale w sprawach zasadniczych spełnia wszystkie standardy demokratycznego państwa prawa i współczesnej myśli konstytucyjnej”. Odbiorca tego przekazu miał sam wyciągnąć z niego oczywisty wniosek i w referendum głosować za jej przyjęciem.

Problem polega jednak na tym, że standardy nowoczesnego państwa są na tyle ogólne i jednocześnie elastyczne, że spełniały je niemal wszystkie inne projekty zgłaszane w Polsce po 1989 roku, w tym także projekt społeczny AWS, który również nie był idealny, ale z pewnością pozbawiony wielu wad projektu „kompromisowego”. Wykazywanie, że projekt Komisji Konstytucyjnej odpowiada standardom nowoczesnego państwa w żaden sposób nie wyróżniało go od innych projektów i nie niosło w sobie żadnego istotnego przesłania poza tym, że pełniło ważną funkcję perswazyjną, mającą skłonić niezdecydowanych do opowiedzenia się za nim.

Podkreślaniu zalet poszczególnych artykułów promowanej konstytucji towarzyszył również zarzut, że dla jej przeciwników ważniejsze niż kwestia: „jaka konstytucja?”, jest pytanie: „czyja konstytucja?”. Zarzut ten, który miał merytorycznie dyskwalifikować adwersarzy i demaskować ich niedobre, bo „polityczne” intencje, był poniekąd słuszny. Rzecz w tym, że to właśnie pytanie „czyja konstytucja?” – jeśli je się właściwie rozumiało – o wiele bardziej przybliżało do istoty konstytucyjnego sporu niż drobiazgowe analizowanie jej treści. Innymi słowy, to, co zasługiwało na pochwałę, bo stanowiło wyraz przenikliwości, przedstawiano jako powód do wstydu.

O ile hasło „konstytucja spełniająca standardy nowoczesnego państwa”, mogło być po części poparte rzeczowym uzasadnieniem, o tyle inne środki perswazji używane w debacie w celu pozyskania poparcia dla konstytucji w zbliżającym się referendum miały już zdecydowanie charakter technik retorycznych. Szeroko rozpowszechnianym mitem było przede wszystkim prezentowanie samej idei kompromisu jako najwyższej konstytucyjnej wartości i wręcz synonimu pokoju społecznego. Przy okazji przeciwnicy konstytucji, przedstawiani jako wrogowie kompromisu, mieli stać się w publicznym odbiorze uosobieniem pieniactwa.

Kompromis wszakże z samej swej istoty nigdy nie może być nadrzędną wartością, celem samym w sobie, lecz zawsze jest środkiem prowadzącym do jakiegoś innego celu. Dążąc do osiągnięcia rzeczy dla nas ważniejszych, godzimy się ustąpić w sprawach z naszej perspektywy drugorzędnych. Tak też było w przypadku stanowienia ustawy zasadniczej III RP. Za hasłem konstytucyjnego kompromisu, na które dało się nabrać tak wielu ludzi dobrej woli, kryła się konsekwentna i bezkompromisowa realizacja najważniejszego celu dominującego obozu politycznego – zabezpieczenia interesów dawnych funkcjonariuszy PRL-u. Natomiast ustępstwa, na które godzili się twórcy konstytucji, aby pozyskać wymaganą większość, dotyczyły kwestii z ich punktu widzenia drugoplanowych.

Inny – wspominany już wcześniej – mit o wielkiej sile perswazji stanowiła swoista fetyszyzacja konstytucji – pogląd, jakoby jej posiadanie miało samo w sobie szczególną wartość, a państwo bez konstytucji było państwem ułomnym. To, że przez poprzednie lata nie udało jej w Polsce uchwalić przedstawiano jako kompromitację i powód do narodowego wstydu. Stąd płynął wniosek: nie należy się zbytnio wgłębiać w tekst konstytucji, ani tym bardziej w okoliczności jej powstawania, lecz, spełniając obywatelski obowiązek, trzeba zagłosować za jej przyjęciem.

Siła rażenia tych i innych mitów okazała się tak wielka, że nie potrafili się jej oprzeć nie tylko zwykli obywatele, ale również ludzie o ogromnej kompetencji i zmyśle politycznym. Przetoczmy na koniec fragmenty jednego z najbardziej dramatycznych tekstów owego okresu, gdzie Jan Nowak-Jeziorański precyzyjnie opisuje dylemat, przed którym stanął on sam i, jak można przypuszczać, wielu śledzących konstytucyjną debatę Polaków:

„Uchwalenie przez Zgromadzenie Narodowe olbrzymią większością projektu nowej konstytucji stało się zwycięstwem kompromisu nad «duchem liberum veto». Z mego punktu widzenia ten kompromis mógł być o wiele lepszy, gdyby nie musiał być zawierany z formacją postkomunistyczną i gdyby w parlamencie była obecna demokratyczna prawica”. Następnie deklarując, że będzie głosował za przyjęciem konstytucji, uzasadnia swoją decyzję tym, że według jego rozeznania tekst konstytucji spełnia standardy nowoczesnego państwa: właściwie reguluje relacje poszczególnych władz oraz zawiera wystarczające gwarancje obrony praw człowieka, praw i wolności obywatelskich. Nowak-Jeziorański odrzuca także pogląd, że z jej przyjęciem możemy jeszcze poczekać: „sam fakt, że wszystkie kraje, które odzyskały swoją suwerenność, nie wyłączając Federacji Rosyjskiej, uchwaliły już swoją ustawę zasadniczą, a Polska stanowi jedyny wyjątek – zmienia się w skandal świadczący źle o naszym kraju”. Te wszystkie uzasadnienia, a raczej powtarzane przez autora obiegowe stereotypy, nie są jednak decydujące. Najważniejszy argument brzmi: „każdy kompromis narzuca konieczność wyrzeczenia się czegoś, na czym nam zależy. Istnieją jednak nieprzekraczalne granice kompromisu. Jest nią wierność wyznawanym zasadom. W nowej konstytucji jest wiele rzeczy, które chciałbym zmienić. Brak w niej wielu postanowień, które chciałbym w niej widzieć. Nie znajduję jednak w obecnym projekcie konstytucji niczego, co byłoby dla mnie nie do przyjęcia. (...) Przez całe życie starałem się być wierzącym i praktykującym katolikiem. Głosowałbym przeciwko konstytucji, gdyby na przykład legalizowała aborcję albo małżeństwa osób tej samej płci. Osiągnięty kompromis polega na pozostawieniu różnych spraw sumieniu obywatela, ale nie znajduję w nim nic takiego, co stwarzałoby dla mnie konflikt sumienia”. Jan Nowak-Jeziorański ma o tyle rację, że gdyby w konstytucji znajdowało się coś, co byłoby w oczywisty sposób nie do przyjęcia, wszystkie inne argumenty przemawiające „za”, okazałyby się bez znaczenia. Pozostaje jednak otwarte pytanie, czy tego czegoś „nie do przyjęcia” rzeczywiście w konstytucji nie było, czy też tym razem zawiodła autora jego wyjątkowa przenikliwość.

Wraz z wejściem w życie Konstytucji III RP cel, do którego wytrwale zmierzali postkomuniści, został zrealizowany. Celem tym – powtórzmy – było „ostateczne potwierdzenie narodowego pojednania oraz zamknięcie rozliczeń sięgających okresu PRL-u. Przyjęcie Konstytucji miało stanowić punkt zero, nowy start dla wszystkich obywateli niezależnie od ich zasług w obalaniu, czy też w umacnianiu przodującego ustroju. Mieli oni odtąd z czystą hipoteką skierować się ku przyszłości i nie grzebać się więcej w mrocznych zakamarkach minionej epoki”. Jednak przeforsowana i zakonserwowana zapisem konstytucyjnym filozofia obywatelskiego kompromisu niesie w sobie o wiele głębsze konsekwencje niż tylko zapomnienie o coraz bardziej oddalającej się przeszłości. Spoglądając z dzisiejszej perspektywy trudno nie odnieść wrażenia, że niepisana zasada, wedle której – wyrażając jej sens w najbardziej ogólnej formie – *wymogi sprawiedliwości i państwa prawa mogą być zawieszane i lekceważone ze względów politycznych*, stała się trwałym elementem porządku III Rzeczypospolitej, coraz mocniej określając działanie całej ponadpartyjnej kasty demokratycznych polityków.

Postępujący rozkład moralnych standardów życia politycznego nie powinien przy tym dziwić. Czego można bowiem oczekiwać i wymagać od ludzi aktywnych politycznie w państwie, w którym nawet to, że ktoś budował swoją karierę będąc funkcjonariuszem zbrodniczego ustroju a przy tym także – chcąc nie chcąc – wiernym współpracownikiem i reprezentantem interesów obcego mocarstwa, nie ma istotnego znaczenia i nie pociąga za sobą żadnych publicznie ważnych skutków? Jeśli taka działalność nie uchodzi powszechnie za bezwzględnie kompromitującą i tym samym eliminującą z życia politycznego, to czy można jeszcze stawiać komukolwiek jakiekolwiek zarzuty sprzeniewierzenia się dobru publicznemu? Czy autorzy rozmaitych dzisiejszych afer i skandali, nie zasługują na podobną „wyrozumiałość”, skoro ranga ich wykroczeń jest przecież niewspółmiernie mniejsza?



CZY POLACY STALI SIĘ BARDZIEJ OBYWATELAMI PO DWUDZIESTU LATACH TRANSFORMACJI USTROJOWEJ?

PROF. DR HAB. ZBIGNIEW STAWROWSKI

Gdy sięgamy dziś pamięcią do roku 1989, to mimo wszelkich ówczesnych obaw i niepokojów o przyszłość, najmocniejszym elementem naszych wspomnień pozostaje doświadczenie odzyskanej wolności – poczucie, że przed Polakami otworzyła się nowa przestrzeń działania. Pojawiło się wtedy przekonanie – za którym poszły konkretne czyny i konkretne zaangażowania – że już nie tylko sfera prywatna, ale również obszar spraw publicznych i politycznych może być dziedziną sensownej aktywności – dziedziną, na którą ludzie mogą wpływać i za którą mogą brać odpowiedzialność. Innymi słowy, Polacy uwierzyli, że mogą wreszcie stać się obywatelami. To doświadczenie odzyskanej wolności oraz możliwości podjęcia działań obywatelskich znalazło wyraz w popularnym wówczas powiedzeniu: „jesteśmy teraz we własnym domu”. Te proste słowa zawierały zresztą w sobie głęboką mądrość i bardzo przypominały sławną definicję wolności sformułowaną przez Hegla: wolność to bycie sobą u siebie.

Nie ma większego sensu zastanawiać się, czy obecnie jesteśmy bardziej wolni niż w czasach PRL-u – bo z pewnością jesteśmy. Warto jednak zadać tutaj pytanie, czy państwo, w którym dziś żyjemy, dorosło do oczekiwań i nadziei, jakie słusznie żywiłimy 20 lat temu u początku transformacji ustrojowej. Nie chodzi przy tym tylko o subiektywne odczucia Polaków wobec III RP – choć badania socjologiczne, opisujące, jak te uczucia zmieniały się przez ostatnie lata, są na pewno jakimś ważnym i to niezbyt optymistycznym wskaźnikiem – lecz przede wszystkim o to, czy nasze państwo spełnia instytucjonalne warunki tego, by mogło w oczach obywateli uchodzić za „własny dom”, za sprzyjającą przestrzeń dla ich własnej twórczej wolności. Kryteria pozwalające na dokonanie takiej oceny są dobrze znane i łączą się z tym, co rozumiemy przez nowoczesne państwo oraz z różnymi znaczeniami pojęcia „obywatel”.

Co to znaczy być obywatelem? W myśli politycznej od czasów starożytnych – pisał o tym już Arystoteles w swojej *Polityce* – wyróżnia się dwa podstawowe znaczenia słowa obywatel: mówi się, mianowicie, o obywatelu biernym oraz czynnym, o wymiarze obywatelstwa, którego się doznaje jako pewnego zagwarantowanego statusu oraz takim, który się czynnie wykonuje. Odwołajmy się do tego rozróżnienia, ale w wersji bardziej współczesnej przedstawionej przez Immanuela Kanta. Kant wprowadza je w kontekście rozwijanego przez siebie modelu państwa, opartego na poszanowaniu wolności i godności człowieka, a więc takiego, które również i dzisiaj pozostaje dla nas wzorem rozumnego uregulowania relacji międzyludzkich.

1. Obywatel to przede wszystkim ktoś, kto posiada określony status – jest poddanym państwa, w którym szanowane są jego słuszne uprawnienia, albo – inaczej rzecz ujmując – w którym rządzą sprawiedliwe prawa. Władza i porządek prawny pełnią tu wobec obywatela

funkcję służebną. W takim państwie człowiek znajduje się pod opieką jego instytucji, jest przez nie niejako obsługiwany i doznaje ich wspierającej obecności. Wsparcie to polega, po pierwsze, na ochronie szeroko rozumianej sfery prywatnej, w której zakres wchodzi życie, nienaruszalność cielesna, majątek i rodzina, oraz, po drugie, na zagwarantowaniu wolności działania w przestrzeni publicznej, ograniczonej takim samym prawem każdego innego obywatela. Tylko ktoś, kto żyje w państwie, które zapewnia mu takie warunki, może czuć się w nim „u siebie”, może uważać siebie w pełni za obywatela (w sensie biernym), za kogoś, kogo wolność została przez państwo uszanowana i kto może swobodnie realizować swoje indywidualne cele życiowe, w tym również współpracować, ale i konkurować z innymi, mając zapewnione osobiste bezpieczeństwo oraz zagwarantowane przestrzeganie sprawiedliwych reguł gry.

Poczucie osobistego bezpieczeństwa oraz świadomość, że w wypadku konfliktu czy kolizji mojej wolności z wolnymi działaniami innych osób mogę liczyć na bezstronny osąd i sprawiedliwe potraktowanie ze strony państwa, stanowi kwintesencję tak rozumianego obywatelstwa. Innymi słowy, obywatel bierny (*Bürger, bourgeois*) tym bardziej czuje się obywatelem, im bardziej państwo, w którym żyje, odpowiada wzorcowi *państwa prawa*.

Podstawową instytucją państwa prawa jest przede wszystkim instytucja *wymiaru sprawiedliwości*. Od jakości i sprawności działania tej instytucji najbardziej zależy to, czy mieszkańcy państwa czują się jego obywatelami, czy uważają je za swoje i się z nim identyfikują. Nie chodzi przy tym o to, że czasem ktoś zostaje potraktowany przez urzędnika reprezentującego państwową instytucję w sposób niesprawiedliwy – taka sytuacja bowiem zawsze może się zdarzyć – ale o przekonanie, że w każdym z takich wypadków przed obywatelem stoi otworem realna droga odwołania i uzyskania sprawiedliwego rozstrzygnięcia. Państwo oczywiście nie musi, a ze względu na niedostatki ludzkiej natury wręcz nie może być doskonale sprawiedliwe we wszystkich swoich działaniach, powinno być jednak tak zorganizowane, żeby jego obywatele mieli zawsze poczucie, że ostatecznie chodzi w nim o sprawiedliwość, że państwo i jego instytucje istnieją przede wszystkim po to, by służyć sprawiedliwości.

Mając na względzie to znaczenie obywatelskości, należy więc zapytać, czy i na ile dzisiejsze funkcjonowanie instytucji wymiaru sprawiedliwości pozwala nazwać III RP państwem prawa – państwem, gdzie poszanowana jest wolność i sprawiedliwość. Pozostawiając szczegółową ocenę tej instytucji osobom bardziej kompetentnym, wskazałbym tylko na potrzebę rozróżnienia kilku odmiennych poziomów tej kwestii.

A. Oceny i weryfikacji domaga się treść obowiązującego w Polsce systemu prawnego (kodeks karny, cywilny, kodeksy postępowania). Czy np. kary przewidywane w kodeksie prawa karnego są rzeczywiście sprawiedliwe, (nie zaś „za surowe”, lub „za łagodne”, jak to często

słyszysz się w debatach „specjalistów”)? Czy zgodne z europejskim trendem usunięcie z prawa karnego kary śmierci nie kwestionuje u samych podstaw sprawiedliwości jako idei przewodniej całego systemu prawnego? Czy nie mamy ponadto do czynienia z przeregulowaniem systemu prawa, zbytnią szczegółowością oraz ingerencją ustaw w te dziedziny (np. w sferę wolności jednostki, moralności, rodziny), których autonomiczny charakter sprawiedliwe państwo musi uznawać, szanować i gwarantować?

B. Głębokiej reformy potrzebuje bez wątpienia niewydolna struktura organizacyjna oraz sposób działania sądów i innych instytucji związanych z wymiarem sprawiedliwości. Karygodna przewlekłość postępowań sądowych stanowi tutaj oczywiście świadectwo pogłębiającej się zapaści instytucjonalnej.

C. Symptodem innej choroby wymiaru sprawiedliwości – i to zarówno w wymiarze instytucjonalnym, jak i etycznym – są przypadki, gdy immunitet sędziowski chroni sędziego przed prawnymi konsekwencjami dokonanego przez niego wykroczenia czy pospolitego przestępstwa, zaś przejawem jeszcze gorszej systemowej patologii – gdy w takiej sytuacji w ochronę sędziego przed pociągnięciem go do odpowiedzialności angażuje się również jego korporacja.

D. Osobną sprawą pozostaje kwestia obsady personalnej instytucji wymiaru sprawiedliwości. Nawet najlepsze ustawy i najsprawniejsze rozwiązania organizacyjne, nie zapewnią wysokiej jakości działania wymiaru sprawiedliwości, jeśli nie zostanie zapewniony właściwy – moralny i intelektualny – poziom ich kadr. Wiedział o tym już Platon: „dla każdego jasne jest z pewnością, że chociaż wielkim osiągnięciem jest ustanowienie praw, to jednak, jeśli dobrze urządzone państwo nieodpowiednim władzom powierzy pieczę nad dobrze ustanowionymi prawami, nie tylko żadnej korzyści nie będzie z dobrych praw, lecz staną się one przedmiotem drwin i szyderstwa i największą bodaj szkodę i hańbę ściągną jeszcze na takie państwo”. Trzeba więc zrobić wszystko, by zwłaszcza sędziowie, na których przecież opiera się wymiar sprawiedliwości, byli godni tej funkcji. Z pewnością nie zadbała o to III RP, w ramach której w imię naiwnej idei samooczyszczenia nie dokonano po 1989 roku żadnej próby weryfikacji sędziów, dzięki czemu zastrużeni służalczością w PRL-u mogli dalej bez przeszkód nie tylko wymierzać „sprawiedliwość”, ale również dzielić się swym „etosem” i wprowadzać do zawodu nowe pokolenia prawników.

Niezależnie od wciąż obecnych „resztówek po PRL-u” najważniejszą sprawą dla właściwego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości wydaje się jednak potrzeba zasadniczej zmiany myślenia w kwestii rozumienia roli sędziego, i w konsekwencji również sposobu jego powoływania. Dotychczasowe formy „specjalistycznego” szkolenia sędziów traktują ten zawód na podobieństwo wysoko wykwalifikowanego urzędnika państwowego, nie dostrzegając, że jest to ze swej istoty nie tyle zawód, co powołanie i to powołanie – w ramach

porządku państwowego – wręcz wyjątkowe. Figura sędziego stanowi w istocie rzeczy personifikację całego procesu wymiaru sprawiedliwości – sędzia jest bowiem jedyną osobą, bez której taki proces byłby nie do pomyślenia. Z tego względu przy jego mianowaniu mniej ważna jest konkretna specjalizacja prawna danego kandydata. Sprawę kluczową stanowi raczej życiowa mądrość – wypracowane i potwierdzone przez lata praktyki walory etyczne i intelektualne, a więc obok prawniczych kompetencji, osobista niezależność, odwaga oraz umiejętność samodzielnego osądu konkretnych zdarzeń w świetle uniwersalnych zasad sprawiedliwości, czyli Kantowska *Urteilkraft*.

2. Drugie znaczenie słowa „obywatel” – obywatel czynny (*Staatsbürger, citoyen*) – ściśle wiąże się z naszym uczestnictwem w życiu politycznym. Tym razem poczucie „bycia u siebie” łączy się z poczuciem współodpowiedzialności za losy państwa i identyfikacją jednostki ze swoją wspólnotą polityczną. Człowiek rozumie tutaj swoją wolność jako gotowość służby ojczyźnie – w horyzoncie jego działania obok celów indywidualnych trwałe miejsce zajmuje perspektywa dobra wspólnego. Państwo, które takie postawy umożliwia, co więcej, do nich zachęca, to – przywołując rozróżnienie znane od czasów starożytnych – *res publica*, rzecz wspólna, albo jeszcze mocniej: wspólne dobro obywateli. Republika, czyli mówiąc po polsku: *rzeczpospolita*, to przede wszystkim przeciwieństwo *res privata*, a więc takiej wizji państwa, gdzie władza służy jedynie interesom tych, którzy sami ją sprawują.

Świadomość czynnego obywatelstwa jest tym silniejsza, im większe jest poczucie tego, iż ma się realny wpływ na losy swojej ojczyzny, że istnieją nie tylko formalne mechanizmy uczestnictwa wszystkich w życiu politycznym wspólnoty (np. demokratyczne wybory), ale również realne instytucjonalne ścieżki umożliwiające i promujące zaangażowanie obywateli zatroskanych o dobro wspólne, poczynwszy od samorządności lokalnej aż po centralny szczebel władzy.

Mając to znaczenie obywatelskości na względzie, należałoby zastanowić się, czy i na ile dzisiejsze Państwo Polskie, zasługuje na to, by je faktycznie nazwać Rzeczpospolitą. I znów chodziłoby tu przede wszystkim o rozważenie kwestii instytucjonalnych, o to, czy przyjęte i obowiązujące w III RP rozwiązania nie podkopują fundamentów tak rozumianej obywatelskości.

A. Ustrój polityczny

Ustrój demokracji partyjno-gabinetowej posiada ewidentne wady, które produkują wyobcowaną ze społeczeństwa „ponadpartyjną kastę zawodowych polityków”. U jego podstaw znajduje się zapisana w konstytucji i utrwalająca ten model ustrojowy proporcjonalna ordynacja wyborcza. W tym kontekście należałoby poważnie rozważyć propozycję wprowadzenia ordynacji większościowej i okręgów jednomandatowych jako

takich rozwiązań, które z jednej strony zdecydowanie pogłębiają stopień osobistej odpowiedzialności wybieranych reprezentantów, z drugiej zaś wzmacniają poczucie podmiotowości wyborców, ich polityczną aktywność i zainteresowanie dobrem publicznym.

B. Sens i zakres immunitetu poselskiego.

Patrząc z perspektywy państwa prawa, jest rzeczą niedopuszczalną, by immunitet związany z pełnieniem ważnych funkcji publicznych rozumiany był jako instytucja, która chroni te osoby przed wymiarem sprawiedliwości i stawia ich ponad prawem. Obecność grupy ludzi o uprzywilejowanym statusie prawnym (dotyczy to zresztą nie tylko parlamentarzystów), nie da się w żaden sposób pogodzić z podstawową zasadą takiego państwa, zasadą równego statusu prawnego obywateli (jako obywateli w sensie biernym), która jest zasadą nadrzędną i tym samym nie może zostać zniesiona z racji zaangażowania danej osoby (obywatelstwo czynne) i pełnionych przez nią funkcji w ramach struktury polityczno państwowej.

C. Co więcej, warto także zastanowić się nad możliwością – w pełni uzasadnioną, gdy aktywność polityczną spoglądamy z perspektywy republikańskiej (tj. państwa rozumianego jako wspólnota czynnych obywateli, zatroskanych o dobro wspólne) – wprowadzenia takich rozwiązań instytucjonalnych, które polityków i urzędników państwowych obarczą zwiększoną odpowiedzialnością (np. poprzez wprowadzenie normy zaostrzającej karę w stosunku do osób, które popełnią przestępstwo sprawując służbę publiczną).

D. Tego typu podejście wymaga jednak przede wszystkim zakwestionowania rozpowszechnionego przekonania, jakoby prawa polityczne posiadały tę samą rangę co podstawowe prawa człowieka, tzn. przysługiwały każdemu dorosłemu obywatelowi bezwarunkowo. Należy otwarcie postawić pytanie, jakie warunki – negatywne i pozytywne – musi spełniać ten, kto chce czynnie uczestniczyć w życiu politycznym zarówno jako wyborca, jak i jako wybierany reprezentant. W tej kwestii podejście republikańskie, przyjmujące, że aby pełnić funkcje polityczne, trzeba nie tylko być tego godnym, tzn. nie mieć na sumieniu czynów, które z ich pełnienia wykluczają (warunek negatywny), ale także na tę funkcję zasłużyć swoją dotychczasową działalnością publiczną (warunek pozytywny), zdecydowanie przeciwstawia się dominującemu dziś w myśleniu o porządku politycznym podejściu demokratycznemu, wedle którego prawa polityczne przysługują wszystkim osobom bez wyjątku, nawet jeśli niczym pozytywnym w życiu się nie wykazały a na dodatek właśnie siedzą w więzieniu. Z tego względu trzeba z aprobatą – jako zdecydowany krok we właściwym kierunku – powitać ustawę z dn. 7 maja 2009 r., która zmieniła konstytucję, dodając do art. 99 ustęp 3: „Wybrana do Sejmu lub do Senatu nie może być osoba skazana prawomocnym wyrokiem na karę pozbawienia wolności za przestępstwo umyślne ścigane z oskarżenia publicznego”

Obywatel a konstytucja

Duża część poruszonych powyżej zagadnień dotyczy wprost porządku konstytucyjnego, jest związana z instytucjami ufundowanymi w konstytucji i może być rozwiązana tylko na drodze zmiany konstytucji. Nic w tym dziwnego – konstytucja to przecież Ustawa Zasadnicza, nadrzędny akt prawny, z którego wszystkie prawa i instytucje w państwie czerpią swoją legitymację. Właśnie dlatego refleksja nad szczegółowymi problemami państwa w naturalny sposób musi prowadzić do zasadniczego pytania, jak powinna wyglądać konstytucja państwa, jaką powinna zawierać treść, jakie rozwiązania instytucjonalno prawne, aby zapewniały one najlepsze warunki bycia obywatelem w wymienionym powyżej podwójnym sensie tego słowa. Ujmując rzecz najkrócej: powinna ona zawierać naczelne zasady, konstytuujące *republikańskie państwo prawa*. Obowiązujący w Polsce porządek konstytucyjny wymaga poważnych zmian zmierzających w tym właśnie kierunku.

Świadomość bycia pełnoprawnym obywatelem wiąże się jednak z konstytucją nie tylko w kontekście jej treści. Wchodzi tu w grę jeszcze jedna kwestia i to o ogromnym znaczeniu.

Otóż, bywają czasem szczególne sytuacje, kiedy poczucie czynnego obywatelstwa, związane z realnym współuczestnictwem w życiu publicznym i politycznym oraz współodpowiedzialnością za własny kraj, wykracza poza stan normalny i staje się czymś nadzwyczajnym. To tak zwane „momenty konstytucyjne”. Tylko nieliczne pokolenia, i to w nielicznych krajach, otrzymały szansę, by móc wpływać nie tylko na bieżącą politykę, ale również, by decydować o zasadniczych zrębach całej państwowości, projektując i tworząc od początku ustrojowy kształt własnego państwa. Poczucie uczestniczenia w takim właśnie dziele, zwłaszcza gdy zakończy się ono sukcesem, buduje najmocniejszą i najgłębszą identyfikację z państwem. Można powiedzieć, że wówczas państwo dla aktywnych uczestników procesu stanowienia konstytucji staje się w ten sposób niejako ich własnym dzieckiem. W takim doświadczeniu świadomość bycia obywatelem osiąga swój szczyt. Warto tu jako przykład wspomnieć historię narodzin Stanów Zjednoczonych, kiedy to proces stanowienia konstytucji stał się dla szerokich kręgów społeczeństwa amerykańskiego wielką szkołą obywatelskości, a w konsekwencji początkiem legendy założycielskiej i patriotyzmu konstytucyjnego.

Podobna szansa zbudowania od podstaw własnego państwa otworzyła się przed Polską w roku 1989. Po wyborach czerwcowych, po stworzeniu rządu z Tadeuszem Mazowieckim na czele, wydawało się, że uchwalenie nowej konstytucji suwerennego wreszcie państwa, jest kwestią niewielu miesięcy, że najpóźniej w 1991 roku na dwusetną rocznicę Konstytucji 3 Maja, nowa ustawa zasadnicza będzie gotowa. Szansa ta została jednak bezpowrotnie zaprzepaszczona. Wywodzącym się z ruchu „Solidarności” nowym elitom do szybkiego uchwalenia konstytucji – takiej, która tworzyłaby trwałe podstawy wspólnego domu i tym samym warunki narodzenia się polskiego patriotyzmu konstytucyjnego – zabrakło woli,

wyobraźni i rozumu. Proces konstytuowania się państwa od nowa – co pokazuje właśnie przykład Stanów Zjednoczonych – możliwy jest bowiem tylko na fundamencie głębokiej etycznej wspólnoty, tzn. tam, gdzie zdobyciu czy odzyskaniu niepodległości, towarzyszy równocześnie zgoda co do najistotniejszych wartości. Tego warunku natomiast nie spełnia III RP, która niesie w sobie „grzech pierworodny”, od dwudziestu lat dewastujący etyczną substancję naszego narodu.

Ukonstytuowanie etycznej przestrzeni, w której toczy się nasze życie obywatelskie miało miejsce w czasie obrad symbolicznie kojarzonych z Okrągłym Stołem. Wtedy to elementarne dla każdej wspólnoty wartości: prawda i sprawiedliwość, zostały poświęcone na ołtarzu polityki i uznane za mniej istotne niż polityczna gra o władzę. Dobrze uzasadniony polityczny kompromis, zawieszający chwilowo – w obliczu wciąż istniejącej groźby użycia przemocy przez komunistyczną władzę – kwestię sprawiedliwego osądu i rozliczenia przeszłości, nabrał szybko cech trwałości – stał się fałszywym etycznym kompromisem, w którym pomieszenie prawdy z fałszem, dobra ze złem uznano za rzecz normalną, a tym samym dopuszczalną w ramach państwa. Ten fałszywy kompromis, stopniowo infekując polskie życie publiczne, znalazł – jak wiadomo – swoje zwieńczenie i utrwalenie w Konstytucji przyjętej w 1997 roku.

W przeforsowaniu takiej właśnie wizji państwa, gdzie polityka stoi ponad sprawiedliwością, były w sposób oczywisty zainteresowane osoby wywodzące się z władczych elit dawnego ustroju. Bezwzględne uznanie prawdy i sprawiedliwości za podstawę porządku państwowego – w kontekście nierozliczonej działalności z okresu PRL-u – dla wielu zakończyłoby się odpowiedzialnością karną, dla pozostałych całkowitą marginalizacją polityczną. Jak się jednak okazało, zasadę absolutnego prymatu polityki i w konsekwencji instrumentalny stosunek do wartości szybko i bezboleśnie przyswoiło sobie również wielu zdawałoby się „ideowych” polityków o solidarnościowym rodowodzie. Uwidoczniło się to wyraźnie także w braku zdecydowanej „woli politycznej”, która doprowadziłaby do uchwalenia konstytucji w pierwszych latach po przełomie. Rywalizacja o władzę w ramach powstałej po 1989 roku demokratycznej przestrzeni politycznej okazała się tak wciągająca i absorbująca, że wśród solidarnościowych elit zabrakło ludzi mających odpowiednią motywację, by skutecznie doprowadzić do końca prace konstytucyjne.

Warto też przypomnieć, że to właśnie zdominowany przez ugrupowanie solidarnościowe Parlament odpowiada za przyjęcie w kwietniu 1992 roku „Ustawy Konstytucyjnej o trybie przygotowania i uchwalenia Konstytucji”, której rozwiązania – w połączeniu z przyjętą rok później przez ten sam Sejm ordynacją wyborczą – utorowały postkomunistom drogę ostatecznego konstytucyjnego zatwierdzenia kompromisu zawartego przy Okrągłym Stole. Przyjęta wówczas procedura przygotowania konstytucji, naznaczona była wyraźnie „myśleniem taktycznym” – ważniejsze było szybkie opracowanie i przyjęcie konstytucji niż

zachowanie przy tym uznanych standardów właściwego jej uchwalania. W rezultacie, zamiast specjalnie do tego celu powołanej konstytuanty, konstytucję przygotował mało reprezentatywny Parlament wybrany w 1993 roku wedle nowej ordynacji, której celem było nie tyle przygotowanie ustawy zasadniczej, co wyłonienie sprawnego rządu. Spowodowało to, że 1/3 ważnie oddanych głosów nie znalazło swojej reprezentacji w Sejmie, który – co charakterystyczne – w swej strukturze przypominał niemal dokładnie Sejm „kontraktowy” z roku 1989: i w jednym i w drugim 2/3 miejsc zajmowali ludzie związani z PRL-owskim establishmentem. Inną istotną wadą procesu stanowienia konstytucji był brak wymagania *quorum* w zatwierdzającym ją referendum, choć jednocześnie to sama konstytucja (art. 125) wprowadzała jako obowiązujące kryterium ważności dla referendów – „w sprawach o szczególnym znaczeniu dla państwa” – udział więcej niż połowy uprawnionych do głosowania. Rzecz wyglądała tak, jakby zatwierdzanie konstytucji miało dla państwa – paradoksalnie – mniejszą wagę niż każde inne referendum.

Te i inne czynniki spowodowały, że proces stanowienia konstytucji nie mógł być czasem budowania poczucia świadomości obywatelskiej oraz wspólnoty obywateli połączonych zgodą co do podstawowych wartości, lecz okazał się czasem niezwykle ostrej polaryzacji i konfliktu politycznego, który zakończył się jej przyjęciem w referendum niewielką przewagą głosów. Ci, którzy skutecznie przeforsowali obowiązujący dziś w Polsce porządek konstytucyjny, nie byli zainteresowani, by oprzeć go o etyczny fundament, który pozwoliłby sprawiedliwie rozstać się z przeszłością i na którym dałoby się dopiero budować wspólny dom i wspólną przyszłość wszystkich Polaków. Zajęci przede wszystkim zacieraniem odpowiedzialności za okres komunizmu, przeforsowali – wykazując się przy tym, trzeba przyznać, dużą zręcznością – ustawę zasadniczą, z którą, oprócz nich samych, mało kto może się utożsamić. Ich zręczność może się jednak okazać krótkowzroczna. Trudno bowiem czuć się w Polsce u siebie, gdy wciąż towarzyszy nam świadomość, że ojcami założycielami III RP są przede wszystkim przedstawiciele dawnych komunistycznych elit.

Bez zmiany tego stanu rzeczy, to znaczy:

- po pierwsze, bez uchwalenia nowej konstytucji, której treść w porównaniu do obecnej w sposób lepszy, spójniejszy i bardziej przyjazny dla obywateli określałaby instytucjonalno-prawną przestrzeń państwa;
- po wtóre, bez rzeczy jeszcze ważniejszej, bez podjęcia rozstrzygnięć, które mają charakter przedkonstytucyjny, a mianowicie, bez jednoznacznego określenia, kto jako pełnoprawny, czynny obywatel może (tzn. jest godny) współstanowić konstytucję, kto zaś ze względu na swoje wcześniejsze czyny musi zostać – w oparciu o zasadę sprawiedliwości *suum cuique tribuere* – z tego procesu konstytuowania wyłączony, czyli – odnosząc to do naszej konkretnej sytuacji historycznej i politycznej – również bez przynajmniej symbolicznej, ale jednoznacznej i ostatecznej dekomunizacji *nasze poczucie obywatelskości, bycia u siebie we własnym domu i identyfikacji z własnym państwem pozostanie niedopełnione*.

POLSKA TRADYCJA KONSTYTUCYJNA

PROF. UW DR HAB. JAN MAJCHROWSKI

Nie sposób mówić o polskiej tradycji konstytucyjnej bez zatrzymania się na wstępie nad samym terminem **TRADYCJA**. Cóż to jest tradycja? Znakomitą, ironiczną odpowiedź na pytanie odwrotne - czym tradycja nie jest - dał Stanisław Bareja w słynnej komedii „Miś”, którą dziś zwykło się określać jako „kultową”. Padły tam słowa o „nowej świeckiej tradycji”. Tym właśnie tradycja nie jest. Przede wszystkim nie może być „nowa”. Z istoty tradycji wynika to, że jest stara, ugruntowana, a przede wszystkim nie narzucona z zewnątrz.

Tradycja musi się zrodzić w sposób niejako autonomiczny; nie można jej zadekretować. Jej źródła nie tkwią w woli państwa, kaprysie władcy, czy decyzjach urzędników albo polityków. Tradycja się rodzi. Czasem w bólach, gdy pewne rozwiązania przez dziesięciolecia poddawane są weryfikacji metodą prób i błędów. To co się ostatecznie – na trwałe wchodzi do społecznego krwioobiegu – staje się właśnie tradycją, czymś wartościowym, cennym, czymś co warto pielęgnować i co powinno być „przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia na pokolenie” - jak to ujmowała Konstytucja kwietniowa. Tradycja to nie sama przeszłość – to przeszłość i teraźniejszość skierowana ku przyszłości, a parafrazując Biblię - to nie Bóg umarłych, a Bóg żywych.

Tak samo jak nie może być nowej tradycji w ogóle, nie może też być nowej tradycji konstytucyjnej. Tu jednak pojawia się pytanie o relację między tradycją, a obowiązującą konstytucją – uchwaloną przecież w pewnym historycznie określonym momencie. W przypadku Polski miał on miejsce, zaledwie i aż, dwadzieścia lat temu.

W tym miejscu należy na chwilę zatrzymać się nad samym terminem **KONSTYTUCJA**. Bardzo często tak w Polsce, jak i w krajach kontynentalnej Europy, przez konstytucję rozumie się przede wszystkim akt normatywny o najwyższej randze, ustawę zasadniczą, dokument władzy publicznej zawierający przepisy, z których można następnie wyprowadzić generalne i abstrakcyjne normy prawne, na których strażą stoi suwerenna władza mogąca posłuch wobec tych norm wymusić. To oczywiście prawda – w sensie formalnym tym właśnie jest konstytucja pisana. Ale choćby powszechnie znany przykład brytyjski, wskazuje, że konstytucja może obyć się bez jednego skonkretyzowanego dokumentu; że od papieru ważniejsze są same zasady i reguły, ich powszechna znajomość i ich powszechne respektowanie. Gdy zasady i reguły zostaną wypowiedziane, skonkretyzowane i spisane w jednym akcie, będziemy mieli wówczas do czynienia z konstytucją pisaną. Czy jednak spisanie zasad i reguł uchodzących dotąd za fundamentalne dla danego państwa, powoduje, że to, co legło u podstaw ich normatywnego wypowiedzenia przestało obowiązywać, wiązać, znikło? Czy nie należy wręcz mówić o pierwotności „konstytucji wspólnoty”, która stanowi jej samookreślenie, w stosunku do konkretnej „konstytucji państwa”, która albo tę

pierwszą ustrojowo i normatywnie realizuje albo ją wypacza, czy na siłę usiłuje zmienić? Zdarzają się przecież konstytucje pisane, które nie odzwierciedlają owej rzeczywistej „konstytucji wspólnoty”, a w skrajnych przypadkach podejmują z nią walkę.

Bywają oczywiście państwa młode, tworzone prawie *ex nihilo*, o krótkiej historii własnej, które siłą rzeczy będą nawiązywać do rozwiązań zaczerpniętych z wybranych przez siebie źródeł, lub też takie, które z różnych względów do swojej tradycji nawiązać nie mogą lub nie chcą. W ich przypadku konstytucja pisana będzie stanowiła kamień węgielny nowego porządku państwowego i społecznego, który albo utrzyma budowany na niej gmach państwa, albo stanie się kamieniem odrzuconym przez budujących, z rozmaitymi możliwymi tego skutkami.

Zastanawiając się nad „Polską tradycją konstytucyjną” wypada zatrzymać w tym miejscu się po raz trzeci, tym razem nad słowem najważniejszym, kluczowym, nad terminem: **POLSKA**.

Polska nie powstała w pamiętnym roku 1918 - roku odzyskania naszej niepodległości i państwowej suwerenności. Tym bardziej nie powstała w roku 1944 – jak to swego czasu niektórzy usiłowali przedstawiać, operując zakłamanym, propagandowym terminem „Polska Ludowa”. Nie powstała też w, bardzo ważnym skądinąd dla naszych dziejów, roku 1989. Mówiąc „Polska” zawsze możemy i powinniśmy objąć myślą te minione setki lat wzlotów i upadków, właśnie dlatego, że nić właściwie rozumianej tradycji konstytucyjnej, żyjąca w naszej zbiorowej świadomości, a szczególnie jej narodowej elity – „soli tej ziemi”, nie została nigdy przerwana, a jedynie osłabiona. Gdzie więc można szukać jej początków?

Oczywiście przychodzi na myśl Konstytucja Trzeciego Maja 1791 roku, uchodząca powszechnie za najstarszą pisaną konstytucję w Europie, o czym w samej Europie niewielu wie, albo nie chce tego prostego faktu przyjąć do wiadomości, jak zresztą i wielu innych prostych, jednoznacznych prawd o Polsce. Mało kto może poszczycić się tak dawną tradycją konstytucji pisanej, tym bardziej, że jest się rzeczywiście czym szczyć. Rozwiązania tamtej Konstytucji nie były ani rewolucyjne, ani zachowawcze. Były po prostu mądre, wychodzące naprzeciw potrzebom ówczesnego państwa, ale i czerpiące swą mądrość z pewnego historycznego doświadczenia polskiego konstytucjonalizmu, z polskiej myśli politycznej, z republikańskiego marzenia o wolności skojarzonego z szacunkiem dla własnej władzy monarszej. Wszyscy wiemy, że Konstytucja Trzciomajowa nosiła nazwę „Ustawa Rządowa”, tj. ta która powoduje „urządzenie” państwa, organizację jego władz w duchu dobrej „rządności”. Konstytucjami zaś nazywano dotąd uchwały normatywne przyjęte przez nasz Sejm. Wśród nich także można doszukać się reguł podstawowych, niejako wiodących w polskiej tradycji konstytucyjnej, które następnie znajdowały swe echo w różnych nieoktrojowanych konstytucjach pisanych.

Sięgnijmy więc od razu bardzo głęboko do naszej tradycji urządzania państwa. Żeby zaczerpnąć ze źródeł polskiej tradycji ustrojowej, wypada skierować się w stronę kolebki naszej wspólnoty politycznej - Wielkiej Polski (jak określano kiedyś Wielkopolskę). Oto właśnie trzynastowieczna Kronika Wielkopolska, przypisywana przez jednych biskupowi Boguchwałowi, a przez innych księdzu Godzisławowi-Baszcze, mówi, że „...Lechici – którzy jako bracia pochodzący od jednego ojca - nie zwykli byli mieć wśród siebie jakiegoś króla czy księcia, lecz tylko wybierali spośród siebie dwunastu rozważniejszych i bogatszych, którzy rozstrzygali sprawy sporne i zarządzili państwem, nie wymagając od nikogo żadnych danin...”.

O czym przekaz ten nam donosi? Zapewne nie o faktach historycznych, ale z pewnością o pewnych wyobrażeniach ówczesnej polskiej elity umysłowej o państwie, władzy i społeczeństwie. Wedle tych wyobrażeń, mieli zatem ówcześni sprawować rządy nad równymi sobie, nie zaś panować, jak to później podkreślali zarówno Jan Długosz, jak i Marcin Kromer, odnosząc się do tej opowieści. Mamy tu więc wyraźny rys „obywatelskiego” źródła władzy państwowej, być może także jakiś prawzór umowy społecznej. W każdym razie jest to idea władzy nienarzuconej ani przez obcych, ani przez rodzimych uzurpatorów. Władzy służącej nie sobie samej, nie określonej elicie czy kaście, lecz ku powszechnemu dobru. Czyż nie jest to najpierwsza i najstarsza podstawa naszej konstytucji, akcentująca od razu owo braterskie „my”, stanowiące polityczny podmiot, który jest czym innym niż zbiór indywidualistycznych „ja”? Jednocześnie owo „my” nie może rozwijać się kosztem poszczególnych „ja”, żądając od nich tego, co się nie należy. Znakomicie zrozumiał i ujął to samo kilkadziesiąt lat później Juliusz Słowacki w wierszu „Szli krzycząc: >Polska! Polska!<”.

Do tej idei sięgnęła słynna konstytucja sejmowa z 1505 roku, zawierająca słowa „*Nihil novi*” i pod takim nazwaniem zapisała się ona na najchlubniejszych kartach naszej historii i myśli ustrojowej. Nic o nas - bez nas. To wtedy właśnie, na Sejmie w Radomiu, zrodził się republikański duchem ustrój Polski, a potem całej Rzeczypospolitej, który wprowadzał mechanizm (inny niż później u Locke’a i Monteskiusza) swoistego podziału i wzajemnego hamowania się władz, rozpięty między stanami sejmującymi: Królem, Senatem i Izłą Poselską. Niektórzy tę sejmową konstytucję skłonni są uznać za najstarszą polską konstytucję pisaną. Do jej idei jakże pięknie odwołuje się Konstytucja Trzeciego Maja, rozpoczynając się następująco: „W imię Boga w Trójcy Świętej Jedyne. Stanisław August z Bożej łaski i woli Narodu Król Polski etc...”. Władza królewska ma tu Boską sankcję z jednej strony, z drugiej - źródłem jej jest Naród. Oba źródła determinują jeden cel: ograniczenie dla sprawujących władzę i ograniczenie dla samej władzy państwowej, która nie może uzurpować sobie omnipotencji. Władza państwowa w polskiej tradycji konstytucyjnej nie służy sama sobie, ale jest w naturalny sposób podporządkowana innym, wyższym zasadom fundamentalnym i dobru powszechnemu. Nieprzypadkowo Król Polski już od czasów Władysława Jagiellończyka przysięgał na prawa państwa, swego Królestwa, które nazwano później Rzeczpospolitą. Także dzisiejsza Konstytucja w swym pierwszym artykule powtarza

w duchu Konstytucji kwietniowej, że państwo nasze „jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli”.

A jeśli dobro, zwłaszcza rozumiane w świetle chrześcijańskiej etyki, to i moralność obejmująca wszystkie sfery życia – także sferę polityki. Nie należy z tego wysnuć wniosku, że polska polityka zawsze była nacechowana krystaliczną moralnością. Byłaby to naiwna idealizacja. Jednak kryterium moralności w polityce było w Polsce czymś niezmiennie charakterystycznym i odbijało się choćby w ustrojowo uregulowanej odmienności wojny obronnej. Tu praktycyzm i cynizm Makiawela, który dla wielu stał się synonimem nowych czasów, odrodzenia, zerwania z rzekomym obskurantyzmem Wieków Katedr, u nas przeszedł do potocznego słownictwa jako synonim niedopuszczalnej niemoralności w życiu publicznym. Autor powstałych nad Wisłą w podobnym duchu tzw. „Rad Kallimachowych”, zdając sobie sprawę ze społecznego odbioru jego cynicznych, makiawelistycznych właśnie propozycji, wołał pozostać formalnie anonimowy. Etyka, ta głoszona publicznie, nawiązywała do aksjologii właściwej rycerskiemu etosowi, odrzucając – przynajmniej w sferze deklaracji – polityczny „praktycyzm” pozwalający osiągać sukces za wszelką cenę i wszelkimi środkami. Tę polską „nieracjonalną” specyfikę dostrzegali wszyscy czterej wielcy wieszczowie dziewiętnastowiecznej polskiej poezji, każąc odrzucać mieszczańską mentalność kupiecką, by ocalić szlachecką i szlachezną tożsamość, nawet jeśli by to miało bardzo drogo kosztować.

To w tę właśnie retorykę wpisuje się słynne sejmowe przemówienie ministra Becka, które z honoru czyni punkt oparcia nakazujący unieść nawet ciężar ponad siły, czego Polska zdołała dokonać w latach II wojny światowej, płacąc niewiarygodną cenę za swój „nieracjonalny”, a jednak słuszny, wybór. Oczywiście, można było wówczas postąpić inaczej. Mogliśmy być krajem Quislingów. Pewnie lepiej byśmy na tym wyszli, a oskarżano by nas i tak o to samo, ale stracilibyśmy coś, co stanowi o nas samych – nasz honor i naszą tożsamość, nie tyle konstytucyjną, co po prostu narodową. I nie jest najistotniejsze, czy inni cokolwiek o tym wiedzą lub chcą wiedzieć. Najważniejsze, że wiedzą to ci, którzy poczuwają się do polskości. Prawda bowiem nie jest funkcją polityczną, jak to ujął kiedyś pewien radziecki dyplomata chwycony na kłamstwie, ale refleksem bytu obiektywnego. Wiara w ten obiektywny i niezmienny Czynniki, tak charakterystyczna dla Polski i polskiego społeczeństwa, zwłaszcza na tle zlaicyzowanej dziś Europy, jest zarazem przyczyną określonej gradacji wartości społecznych i powoduje, że *sacrum* kształtowało u nas zawsze *profanum*. Nigdy na odwrót. Trudno byłoby też zaprzeczyć, że chrześcijaństwo, a ściślej: katolicyzm, ukształtował przez wieki wizerunek Polski i towarzyszył jej dziejom od samych jej początków, czyniąc z „chrztu Polski” moment i „mit założycielski” państwa. Zarazem było to „chrześcijańskie odczytanie chrześcijaństwa” (jakże inne od dokonanego przez krzyżacki zakon niemieckich rycerzy!), które to odczytanie rychło wiodło do pogodzenia ortodoksji z tolerancją dla nie-ortodoksów, a nawet dla zupełnych innowierców. Nie była to droga łatwa, bo nie mogła być taką

w państwie, w którym nawet król nie był panem sumień swych poddanych (w przeciwieństwie do niektórych innych europejskich królestw). Na pewno kamieniem milowym na niej była Konfederacja Warszawska, zresztą mocno wówczas kontestowana, zaś zwieńczeniem - słowa Konstytucji Trzeciomajowej, które warto zacytować jako owoc naszej dojrzałej tradycji konstytucyjnej: „Religią narodową panującą jest i będzie wiara święta rzymska katolicka (...). Że zaś ta sama wiara święta przykazuje nam kochać bliźnich naszych, przeto wszystkim ludziom, jakiegokolwiek bądź wyznania, pokój w wierze i opiekę rządową winniśmy...”.

Z wyżej wspomnianego rozumienia pochodzenia i celów państwa wynikało szereg konsekwencji i zasad, z których istnienia zdawano sobie sprawę już przed wiekami, choćby wtedy, gdy formułowano zasadę wyrażoną słowami „*neminem captivabimus nisi iure victum*”, uniemożliwiającą despotyczne i arbitralne łamanie wolności osobistej i domagano się jej honorowania przez króla Władysława Jagiełłę. Najważniejszą była więc podmiotowość poddanych w państwie, która uczyniła z nich z czasem *de facto* obywateli (choć wówczas, jak wiadomo, obywatelem nie był każdy). Obywatel miał swoje prawa, w tym polityczne. Jedne wynikały z przywileju monarchy - a każdy następny król musiał zaprzysięgać na prawa swego poprzednika. Inne miały mieć charakter naturalny - „*ex lege natura*” zawiązywały się w Rzeczypospolitej konfederacji, by bronić praw i wolności. To też jest trwały element naszej niepisanej tradycji konstytucyjnej. Tradycja konfederacji trwa u nas od XIII wieku aż do powstania „Solidarności”, która była ogromną ogólnonarodową konfederacją w celu obrony wolności i należnych narodowi praw. Na takim gruncie rodziła się polska tradycja państwa prawnego – u nas jej dzieje sięgają nie wieku XVIII i XIX, gdy kruszono w Europie monarszy absolutyzm, lecz wieków znacznie wcześniejszych, gdyż niepodległa Rzeczpospolita nigdy nie zaakceptowała monarszego woluntaryzmu i w konsekwencji nigdy nie zaznała absolutyzmu. Rodzi to – po dzień dzisiejszy – rozmaite tarcia i nieporozumienia z zarządczymi strukturami, także ponadnarodowymi, które powstały na historycznej bazie innych tradycji ustrojowych, w których absolutyzm monarszy przez wieki znajdował poczesne miejsce i w których nadal obecne jest myślenie kategoriami imperialnymi.

Obowiązek poszanowania prawa przez sprawujących władzę, choć rozmaicie przecież przestrzegany, był u nas czymś od wieków oczywistym. Warto przypomnieć, że właśnie od pięciuset lat obowiązują u nas reguły, które dziś świat uznaje za nierozzerwalnie związane z zasadą państwa prawnego, jak choćby zasada promulgacji prawa, jako niezbędny warunek jego obowiązywania. Jednocześnie jednak rozumiano, że prawo – zwłaszcza stanowione, a zatem zawsze politycznie uwikłane - ma taką wartość, jak same wartości którym służy. To dlatego niektóre z osiemnastowiecznych „praw kardynalnych” na czele z *liberum veto* nie ostały się w naszym „konstytucyjnym” kanonie. Odrzucono je nie zważając na formalnoprawne przeszkody, które słusznie zignorowano, uchwalając – przecież formalnie

wbrew ówczesnemu prawu i procedurze – Konstytucję Trzciomajową, bo dobrze rozumiano, iż *Salus reipublicae suprema lex*. Historia jednoznacznie pozytywnie oceniła skonfederowany Sejm Czteroletni, który Konstytucję 1791 r. przyjął, a zarazem jednoznacznie negatywnie - targowicki rokosz, który szermując hasłem praw i wolności obywatelskich zwalczał ją przy zagranicznej pomocy.

Z wolnością i podmiotowością obywateli z ich naturalnymi prawami, jak i z brakiem absolutyzmu w ustroju państwowym, który pociągał za sobą zawsze centralizm, wiąże się jeszcze jeden istotny rys naszej konstytucyjnej tradycji. Jest nią samorząd i to zarówno terytorialny, jak i miejski, cechowy, aż po wyznaniowy - obejmujący przede wszystkim Żydów, nieprzypadkowo przecież tak licznych w dawnej Rzeczypospolitej. Terytorialny samorząd szlachecki praktykowany był u nas od wieków. Oczywiście był to samorząd swoisty, na miarę epoki. Dawał jednak prawo lokalnym wspólnotom rządzić się własnymi zasadami na własnym terenie, w oparciu o demokrację sejmikową i lokalne urzędy sprawowane dożywotnio, z których król, co do zasady, nie miał prawa nikogo odwołać.

Dziś mamy często spaczony ogląd polskiego sejmiku, jako ogniska warcholskich burd, pijatyk i pojedynków, powstały w ramach szerszego prądu zohydzenia i zakłamywania polskiej tradycji i polskiej historii, której apogeum słusznie doczekało się nazwy „pedagogika wstydu”. Miała ona wykształcić, i po części wykształciła, postawę przeproszającego za winy niepopelnione niedouczonego półinteligenta, nazwanego dekadę temu „wykształciuchem”. Dla tego osobnika „polskość to nienormalność” i dlatego stara się od niej jak najbardziej oderwać, porzucając zwłaszcza jej tradycję. Oczywiście, różne rzeczy wyprawiano na sejmikach. Niejednokrotnie działano bardziej „lewem”, niż „prawem”. Ale gdyby nie „rządy sejmikowe”, jak je nazwał Adolf Pawiński, jak funkcjonowałby kraj w dobie osłabienia i paraliżu władzy centralnej? Tę przestrzeń zdołała wówczas wypełnić zdecentralizowana władza obywatelska, właśnie dlatego, że nie zaznała jeszcze centralizmu i biurokracji.

Z tej samorządowej tradycji konstytucyjnej płynął też polski, swoście obywatelski, model administracji terytorialnej, który swą zmienioną i unowocześnioną formę znalazł w czasie Sejmu Czteroletniego. Zabory zmieniły ten model na całkowicie odmienny – oparty na wzorcach niewywodzących się z naszej republikańskiej tradycji, a sięgających do tradycji i doświadczeń monarchii absolutnej, zmodyfikowanej i niejako „zmilitaryzowanej” przez Napoleona, dla którego administracja różniła się od armii jedynie rodzajem uzbrojenia. Ten model zakładał absolutną centralizację i absolutną zawodową biurokrację. Odrodzona II Rzeczpospolita nie zdołała odbudować już tej polskiej tradycji samorządowej, a i przyjęty model administracyjny był chyba nazbyt centralistyczny i biurokratyczny. Słusznie pisał przed laty Feliks Koneczny, iż porzucając rodzimą tradycję, zamieniliśmy administrację, która była żywym organizmem - na martwy mechanizm.

Warto przypomnieć, że początek stopniowego powrotu do wolnej Rzeczypospolitej znaczone był powrotem do źródeł samorządności terytorialnej zawartej w naszej wielowiekowej tradycji urzędowania państwa. Restytucja samorządu terytorialnego, dokonana za sprawą solidarnościowego Senatu była chyba największym sukcesem pierwszego ćwierćwiecza po upadku rządów komunistycznych w Polsce. Nie mały w tym udział ś.p. Michała Kuleszy, którego imię należy tu przywołać.

Wypada wreszcie wspomnieć, iż Polska tradycja konstytucyjna obejmuje także niezwykle fenomen szczególnej federacji – Unii, w której w obopólnym interesie i na równych prawach, z poszanowaniem własnych tradycji i odmienności złączyły się dwa narody (a właściwie znacznie więcej), które Mickiewicz chciał widzieć na kształt małżeńskiej pary, którą jedynie diabeł chce rozdzielić. Unia Korony z Wielkim Księstwem zaciążyła nad losami Polski, Litwy i Rusi w sposób niezwykle. Pozwoliła także na swoisty „eksport” polskiej myśli ustrojowej i kultury na wschód, powodując zarazem za sprawą atrakcyjności takiej „oferty” masową polonizację tamtejszych elit politycznych i intelektualnych. Postawiła też pytanie o kierunki rozwoju naszej polityki europejskiej, determinowanej położeniem geograficznym Polski, która nigdy nie posiadała luksusu bycia samotną wyspą u wybrzeży Kontynentu. Dylematy dzielące Polskę Piastów od Polski Jagiellonów, Polskę Dmowskiego od Polski Piłsudskiego są dylematami wciąż aktualnymi, które obrazują znakomicie, że długotrwałość historyczna nie jest tylko teoretycznym ujęciem Braudela, lecz rzeczywistością.

Takie to polskie tradycje konstytucyjne, starsze niż najstarsza pisana polska i europejska zarazem konstytucja, dawały niezwykłą siłę przetrwania Państwu Polskiemu w czasie rozbiorów. Państwowość polska formalnie przestała istnieć, jednak nie przestała obowiązywać niepisana, nieskodyfikowana, a tym samym niepodlegająca derogacji, polska tradycja konstytucyjna.

Gdy bowiem konstytucja staje się ideą, staje się tym samym nieśmiertelna!

Kiedy w różnych dramatycznych chwilach naszej historii powtarzano słowa „Jeszcze Polska nie zginęła”, zawarte w naszym hymnie narodowym, nie wiązano tym samym bytu Polski z konkretnym królem, władzą ani nawet z naszymi granicami. Śpiewano natomiast: „kiedy my żyjemy”. Polska była, póki była w nas idea Polski. Jej integralną częścią jest nasza tradycja konstytucyjna, która w sensie ustrojowym stanowi kwintesencję nie jakiegoś kolejnego państwa w Europie, nie „tego kraju”, ale właśnie Rzeczypospolitej.

Polska tylko z nazwy, a taką już kiedyś mieliśmy, bez swej konstytucyjnej tradycji, bez suwerenności, bez republikańskiej idei, bez podmiotowości i wolności obywatelskiej, bez rządów prawa, bez autentycznego samorządu, bez chrześcijańskiego sacrum obecnego w jej przestrzeni publicznej i intelektualnej, bez mądrej religijnej tolerancji, bez solidarności

warunkującej istnienie wspólnoty, bez pamięci o swej tysiącletniej historii, bez narodu łączącego więzią ponadczasową pokolenia, a jednocześnie otwartego na wszystkich, którzy utożsamiają się z tak rozumianą ideą Polski – taka Polska nie byłaby do końca sobą. Nie byłaby też sobą, gdybyśmy zapomnieli, że stanowimy wspólnotę narodową tych wszystkich, którzy do niej chcą należeć z własnej woli; tych którzy są gotowi nie tylko z niej korzystać i czerpać ale dla niej się poświęcić, opowiedzieć się po polskiej stronie, nie ulec w czasie próby zewnętrznym naciskom i groźbom, które jak mantra powracają od ponad dwustu lat. Naród polski rozumiany w kategoriach wyłącznie etnicznych, czy rasowych, byłby dziś zaprzeczeniem polskiego etosu, który przyciągał swą oryginalnością i to paradoksalnie zwłaszcza w wieku dziewiętnastym, gdy państwo polskie, którego wówczas nie było, nie mogło nic ofiarować swym liczny narodowym neofitom.

Polska tradycja konstytucyjna to wolność, nie egoistyczna, czy indywidualistyczna, to nie swawola, która podpowiada „róbta co chceta”. To wolność wymagająca indywidualnej i zbiorowej odpowiedzialności, solidarności, której wspólnym mianownikiem musi być polska racja stanu, a nie interesy najsilniejszych graczy na europejskim, czy światowym rynku. Nasza historia, w tym historia naszego ustroju, to jednak ciągłe ścieranie się nurtu tego, co w naszej tradycji cenne, z tym co bezwartościowe, podszyte głupotą, egoizmem, tchórzostwem, zdradą, zaprzaństwem. To ciągłe zmaganie się z liberum veto i targowicą, szermującymi hasłem wolności i prawa (a ostatnio także konstytucji) – a będącymi narzędziem w rękach wewnętrznych oligarchów i zewnętrznych hegemonów, których Polska w niewymowny sposób zawsze drażniła i irytowała.

Nasze poczucie podmiotowości i własnej godności, właściwe wolnym ludziom, często odczytywano i odczytuje się jako nieracjonalne, oderwane od rzeczywistości „polskie pobrzękiwanie szabelką”. Ci, którzy dziś tak chętnie używają tego szyderczego zwrotu nie wiedzą zapewne, że cytują samego Włodzimierza Ilicza Lenina, który za pomocą tego właśnie wyrażenia oceniał działania Piłsudskiego w marcu 1920 r. Zaledwie kilka miesięcy później, nawet Lenin musiał się przekonać, że „polskie pobrzękiwanie szabelką” bywa czasem bardzo skuteczne i bolesne.

Termin „Polska”, fundamentalny dla każdej polskiej konstytucji, choć paradoksalnie prawie niezauważany, sam w sobie zawiera ogromne bogactwo treści, także treści konstytucyjnej. Polska to bowiem nie nazwa produktu leżącego na półce europejskiego supermarketu, ani nie substytut liczebnika kolejnej europejskiej republiki. To tożsamość wspólnoty, która wyewoluowała w naród i na zawsze związała swą egzystencję z potrzebą własnego, suwerennego politycznego bytu, którego twardy rdzeń stanowi polska tradycja konstytucyjna.

Kluczowe słowa:

Tradycja, konstytucja, polski konstytucjonalizm, polska kultura, Polska

Key words:

Tradition, constitution, Polish constitutionalism, Polish culture, Poland

Streszczenie:

Tekst jest poświęcony trwałym elementom polskiej tradycji konstytucyjnej, którą autor widzi w perspektywie wielu stuleci, nie ograniczając się w swoich rozważaniach jedynie do polskich konstytucji pisanych.

Summary:

The text is devoted to the permanent elements of the Polish constitutional tradition, which the author sees in the perspective of many centuries, not limited in his considerations only to Polish written constitutions.





KANCELARIA PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

– 2019 –